



Barbara Bretton



Tylko ty

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Manhattan

Jack Wyatt uniknął dwudziestu trzech zasadzek, sześćdziesiąt siedem razy wyskakiwał z wybuchającego odrzutowca i sto siedemdziesiąt trzy razy zmylił wycelowane w niego kule, ale nawet on, ulubiony hollywoodzki bohater kina akcji, nie mógł znaleźć taksówki w sobotni wieczór w centrum Manhattanu.

- Przykro mi, panie Wyatt - powiedział portier, lustrując Park Avenue. - Nic, jak okiem sięgnąć. Może przywołać radiotaxi?

- Ile to potrwać

- Dziesięć, piętnaście minut - odpowiedział portier. - Jeszcze pan zdąży.

Jack miał wręczyć nagrodę za całokształt twórczości reżyserskiej na Nowojorskim Festiwalu Filmowym. Co za nuda! Leczenie kanałowe zęba bez znieczulenia byłoby większą zabawą.

- To tylko pięć przecznic stąd. Równie dobrze dotrę tam na piechotę.

- Nie chciałbym się wtrącać, ale na pańskim miejscu nie robiłbym tego. Centrum roi się od fanów, a pan należy do tych, których wszyscy chcą obejrzeć z bliska.

Jack podziękował za troskę, a następnie ruszył ku Park Avenue. Właśnie tego pragnął. Żadnych agentów, żadnej ochrony. Chciał powrócić do normalności... albo raczej do tego, co mogłoby uchodzić

za normalne życie po dwunastu latach sławy bez odrobiny prywatności.

Po dzisiejszej imprezie zamierzał usiąść za kółkiem, ruszyć na wschód, do Montauk, i zatrzymać się dopiero wtedy, gdy przednie koła auta dotkną Oceanu Atlantyckiego. Pierwotny plan przyjazdu z pomocą staremu kumpłowi uległ pewnej korekcie. Jack nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo potrzebował odmiany. Lata życia w świecie, w którym liczy się kasa i mięśnie ze stali, odcisnęły na nim piętno i wypaczyły postrzeganie tego, co jest, a co nie jest normalne.

Weźmy na przykład smoking w biały dzień. Czy to normalnej
Zdecydowanie nie.

Park Avenue była zakorkowana. Jak na początek kwietnia było bardzo ciepło, wykończeni i zdenerwowani kierowcy wychylali się przez otwarte szyby, żeby stwierdzić, co blokuje ruch.

Trudno pozostać niezauważonym, kiedy ma się metr dziewięćdziesiąt osiem wzrostu i smoking na grzbiecie, ale spróbuj nie rzucać się w oczy, kiedy twoje najnowsze filmy lecą na okrągło w multipleksach, a twoja twarz widnieje w górze, gdzieś na wysokości dwukondygnacyjnego domu.

Zręcznie obszedł spaniela king charles, którego półprzytomna właścicielka ciągnęła na długiej smyczy. W Nowym Jorku nie padało od dwóch tygodni, dzień był słoneczny i suchy, jak więc wytłumaczyć fakt, że pies i jego pani paradują w nieprzemakalnych płaszczach burberry?

Pieniądze naprawdę robią dziwne rzeczy z ludźmi. Zielone papierki potrafią rzucić się na mózg i powyrywać kabelki

odpowiedzialne za zdrowy rozsądek, zachowanie dystansu i poczucie humoru. Widywał to w Hollywood. Widywał to także tutaj, na Manhattanie. Do diabła, widywał to każdego ranka w lustrze i ogarniało go przerażenie.

Zaczyna się niewinnie, na przykład od płaszczyków burberry dla paniela króla Karola, a potem ani się spostrzeżesz, jak już potrzebujesz czterech domów, ośmiu samochodów i prywatnego odrzutowca. Przez ostatni rok balansował na krawędzi wariactwa i był tego świadom. Jeszcze jest czas, jeszcze zdąży dokonać zmian, zanim stanie się karykaturą człowieka. Kiedy nadarzyła się okazja, by przyjść z pomocą

Clive'owi, a przy okazji także i sobie, Jack uchwycił się tego.

- Rozumiem, że chcesz wycofać się na jakiś czas, ale najpierw musisz być na gali - warknął Clive do słuchawki. - Za późno na szukanie zastępstwa.

- Zadzwoń do Toma albo do Harrisona. Już ci powiedziałem, Clive, że od dzisiaj zaczynam roczny urlop.

- Uzgodniliśmy, że twój roczny urlop zaczyna się o północy. Opuściłeś próbę generalną, ale jakoś cię usprawiedliwiłem. Ani mi się waż nie zjawić na gali! Wręczysz nagrodę za całokształt twórczości, a ja jestem za stary na to, żeby tłumaczyć się przed Clintem z twojej nieobecności.

- Jesteś o rok młodszy od Clinty - zaśmiał się Jack. - Jedyna nagroda, jaką przyznam, będzie to wyraz uznania za półmisek najlepszych ostryg po manhattańsku na wschód od Riverhead.

Clive Bannister wiedział, jak podejść Jacka. Tak to się zdarza, kiedy były teść jest też twoim przyjacielem i menadżerem. Clive należał do rodziny, a rodzina zawsze była piętą achillesową Jacka.

- Potrzebujesz nowego menadżera - oznajmił mu jeden z szefów studia filmowego. - To zajęcie dla kogoś młodego.

Nie pierwszy raz ktoś ważny sugerował, że powinien odprawić Clive'a na emeryturę, i za każdym razem Jack miał gotową odpowiedź, składającą się z dwóch wulgarnych wyrazów. On i Clive stanowili drużynę. Clive i jego zmarła już żona Rosie dostrzegli potencjał w nieokrzesanym pomywaczu z „Union Square Café”. Zostali rodziną, pomogli mu zbudować przyszłość. W jakimś sensie podarowali mu życie. Nie odwrócili się od niego, kiedy rozwiódł się z ich córką Lindą. Byli rodziną i nic tego nie zmieni.

Aż wreszcie zaczął się zastanawiać, że może Clive zasługuje na coś więcej niż codzienne użeranie się i harówka od świtu do nocy tylko po to, żeby gwiazda Jacka Wyatta ciągle jaśniała. Wprawdzie Clive wyglądał nadzwyczaj młodo, ale od jakiegoś czasu zdarzało się, że zapomniał przekazać ważną wiadomość, przekręcił informację czy wręcz paskudnie nawalił. W świetle tych faktów nawet Jack musiał uznać, że przyjaciel zaczyna odczuwać skutki siedemdziesięciu pięciu lat życia na tej ziemi.

- Dlaczego nie powiem mu wprost, że ma zwolnić tempo? - powiedział do Lindy podczas jednego z ich regularnych spotkań.

- Bo znasz go równie dobrze jak ja. Jedynym sposobem na to, żeby tatuś zwolnił, to przekonać go, że nie ma innego wyboru.

I właśnie wtedy Jack postanowił wycofać się na rok.

Zresztą myśl o długich wakacjach nawiedzała go już od pewnego czasu. Usiąść za kierownicą dżipa i udać się w nieznane - to perspektywa cholernie kusząca. Rok bez kontraktów i zobowiązań. Rok, w czasie którego będzie mógł zapuścić brodę, zgolić głowę, zapomnieć o telefonach komórkowych, mejlach i rosnącym koncie. Rok, w którym nie będzie musiał ratować świata przed żadnym, trwającym dziewięćdziesiąt cztery minuty, niebezpieczeństwem.

- No to jak, widzisz się z kimś ostatnio? - zapytała Linda po tym, jak zaplanowali przyszłość jej ojca.

- Z niejedną osobą.

- Ale czy widzisz się z kimś szczególnym?

- Będiesz pierwsza, która się o tym dowie.

- Małżeństwo przerwało na krótko przyjaźń, która po rozwodzie szybko powróciła.

- Musisz się więcej pokazywać! W przeciwnym razie nic z tego nie wyjdzie.

- W tym tygodniu pokazuję się na trzech tysiącach stu dwudziestu trzech ekranach. Częściej już nie można.

Popatrzyła na niego takim wzrokiem, na jaki może sobie pozwolić tylko ktoś z rodziny.

- Świetnie, Jack, po prostu znakomicie. Nie chcesz o tym rozmawiać, to nie. Wiedz tylko, że pewnego dnia przejdzie obok ciebie jakaś kobieta, na widok której padniesz z wrażenia, a ja chciałabym być w pobliżu i ci powiedzieć: „A nie mówiłam?”.

Linda wierzyła w miłość, która zwała z nóg, zapiera dech w piersi i przewraca świat do góry nogami. Chciała mieć wszystko:

romans z tych, co to „nie mogę żyć bez ciebie”, wesele jak z bajki, małżeństwo „dopóki śmierć nas nie rozłączy” i złote gody w otoczeniu dzieci, wnuków i prawnuków.

Nie potrafił dać jej żadnej z tych rzeczy, a kiedy się rozeszli, był naprawdę szczęśliwy, że znalazła to wszystko, a nawet więcej, przy Mike'u, swym nowym mężu. Może rzeczywiście powiedzenie „do dwóch razy sztuka” sprawdza się w przypadku niektórych ludzi

Po wyminięciu spaniela w burberry Jack przyśpieszył kroku. Na ekranie setki razy zakochiwał się do nieprzytomności, raz po raz powalała go miłość od pierwszego wejrzenia ku radości widzów w różnych częściach świata, w krajach, o których istnieniu często nawet nie wiedział. Miał zakodowane w głowie stosowne dialogi. Wiedział, na czym polega to uczucie, wiedział, jak powinien reagować w takiej sytuacji i co robić, żeby doprowadzić do sakramentalnego „żyli długo i szczęśliwie”.

Lecz w realnym świecie nigdy tego nie przeżył. Przysłowiowy grom z jasnego nieba, uczucie olśnienia na widok kobiety swych marzeń, wciąż pozostawały dla niego tylko efektami specjalnymi hollywoodzkiego kina. Powoli oswajał się z myślą, że tak już będzie zawsze.

Brooklyn

Szturchana i dopingowana Julia McGraw Monahan poddawana była przez ostatnie trzy godziny zabiegom korygującym, rozjaśniającym, rozświetlającym, uwydatniającym, kolo-ryzującym, modelującym, podpinającym, woskującym, pudrującym, cieniującym, malującym, perfumującym, a więc, krótko mówiąc, wszystkiemu, co

służy upiększeniu i przydawaniu blasku. Poddała się temu, jakżeby inaczej, w imię przyjaźni.

Wedle powszechnie utartych standardów Julia była średnio zadbaną kobietą. Samotna matka bliźniąt w wieku przedszkolnym nie ma czasu na nic więcej. Kiedyś, dawno temu, poddawała się sporadycznie wyszukanym zabiegom upiększającym, które zamieniały przeciętnie wyglądającą komputerową maniaczkę w seksowną kobietę, ale te czasy bezpowrotnie minęły.

Tak uważała, zanim najlepsza przyjaciółka, matka chrzestna bliźniąt i opiekunka na dochodne w jednej osobie, nie wzięła jej w swoje ręce.

Kucyk Julii, zwykle uczesany w pośpiechu i byle jak, zamienił się w efektowną burzę rudych loczków muskających ramiona. Codzienny strój, składający się z T-shirta i dżinsów, zastąpiła połyskująca brązowa suknia, imitacja Versace, która leżała na niej wprost idealnie. Cera była nieskazitelna jak alabaster, a opalizujące oczy otrzymały oprawę z gęstych i podkreślonych rzęs. Po raz pierwszy od lat pachniała perfumami, a nie jakimś detergentem.

Cud, pomyślała, nie znajdując innego słowa.

- O rany! - zawołała, poprawiając okulary na nosie. - Więc to jest ten ekstremalny makijaż, który z brzydkiej robi ładną!

- Zdejmij te okulary - nakazała Bonnie, jej najlepsza przyjaciółka i dobra wróżka. - Psują cały efekt.

- Jeśli je zdejmę, nie będę nic widziała.

- Nic na to nie poradzę. Nie występujesz dzisiaj w roli maniaczki komputerowej. Zdejmij je natychmiast!

Julia posłusznie usunęła szkła i popatrzyła spod przymrużonych powiek w kierunku, gdzie znajdowało się lustro.

- Nie da rady, nic nie widzę.

- To tylko jeden wieczór. Potraktuj to jak jedno z tych poświęceń, które kobiety składają na ołtarzu urody. Poza tym dzięki temu oszczędzisz sobie zawrotu głowy na widok parady gwiazd filmowych.

Na myśl, że gwiazdy filmowe mogłyby zawrócić Julii w głowie, przyjaciółki wybuchnęły śmiechem. Julia nie była w kinie od urodzenia bliźniąt, czyli od prawie pięciu lat. Wystarczyło na nią spojrzeć, żeby nie mieć wątpliwości, iż nie należy do fanatycznych wielbicielek sławnych osób. Co prawda była fanatyczką czy też maniaczką, ale w całkiem innej dziedzinie. Prowadziła niewielką firmę naprawy komputerów o nazwie Wired, a wieczorami pisywała artykuły instruktażowe.

Zareagowałyby bardziej ochoczo na ekstra 512MB RAM niż na kolację przy świecach z Bradem Pittem.

Kiedy Bonnie zniknęła z pokoju, Julia skorzystała z okazji i wsunęła okulary do błyszczącej torebki. Są granice poświęcenia dla urody, nawet jeśli w grę wchodzi najlepsza przyjaciółka.

Bonnie wróciła po kilku chwilach, wymachując parą niewiarygodnie cudownych sandałów z cieniutkimi paseczkami na niewiarygodnie wysokich obcasach.

- A to jest nasz główny atut - zakomunikowała. - Moje przynoszące szczęście pantofelki od Manola Blahnika.

- Te, które wygrałaś na loterii dobroczynnej Związku Aktorowi

Bonnie, którą rozpierała duma, pokiwała głową.

- Proszę uczcić chwilą ciszy to nieskończone doskonałe dzieło.

Nawet Julia, która była zaprzeczeniem maniaczki butów, wiedziała od pierwszej chwili, że ma do czynienia z czymś nadzwyczajnym, niepowtarzalnym arcydziełem stworzonym i sygnowanym przez samego mistrza. Odpowiednikiem świętego Graala dla miłośników pantofli, z całą pewnością sławniejszym niż dziewięćdziesiąt procent aktorów, którzy kupili bilety na loterię w nadziei wygrania tego cudu.

- To było tak dawno... Czy jeszcze pamiętam, jak się chodzi na szpilkach?-

- To jest jak z jazdą na rowerze. Żadna kobieta o prawidłowym poziomie estrogenu nie ma prawa zapomnieć, jak się chodzi na szpilkach. Mamy za mało czasu, żeby się spierać na temat butów. Po prostu je włoż. Rachel czeka na dole w limuzynie i jest w jadowym nastroju. - Bonnie poprosiła kuzynkę o przysługę, a ta najwyraźniej nie była tym zachwycona.

Julia wsunęła nogi w nieprzyzwoicie drogie sandałki, próbując ignorować dreszczyk podniecenia, jaki ją przeszedł w zetknięciu z nimi. Paseczki oplatały stopy jak jedwabista pajęczynka.

- A co będzie, jeśli je zgubię? Przecież wiesz, że stale coś gubię.

Bonnie popatrzyła z politowaniem.

- Te pantofle mają paski. Nie spadną ci, jeśli ich sama nie zdejmiesz, a czegoś tak głupiego na pewno nie zrobisz.

- Bo ja wiem... Są chociaż ubezpieczone?

- Coś ty! Dobrze, że wystarczyło mi na ubezpieczenie samochodu.

- No to nie ma mowy. Nie włożę pantofli, które kosztują więcej niż cała moja garderoba. Na pewno znajdę w szafie coś bardziej praktycznego. Nie chcę drżeć ze strachu przy każdym kroku!

- Wiem, co masz w szafie, Julio. Toporne buty i gumowe klapki.

Awersja Julii do butów była powszechnie znana. Jakby mściła się na nich za całe zło tego świata. Wszędzie i zawsze wałało się porzucane przez nią obuwie.

- Są cudowne, ale nie w moim stylu.

- Ta goła suknia od Versace też nie jest w twoim stylu, kochanie, ale udajesz się na fantastyczną hollywoodzką galę, a nie na składkową kolację w parafii St. Matthew's. Opłacany widz musi się wtopić w olśniewającą publiczność na widowni. Jeśli nie potrafisz wczuć się w ten specyficzny klimat, powiedz to teraz, a znajdę kogoś innego, kto mnie zastąpi.

Bonnie jako aktorka teatralna borykała się z trudnościami, więc między różnymi rólkami dorabiała jako klakierka na różnych imprezach, którym groziła niska frekwencja. Sporadycznie zdarzała się jakaś supergala, jak ta dzisiejsza. Została zaangażowana, ale po kanałowym leczeniu zęba policzek był wciąż spuchnięty, więc w ostatniej chwili musiała załatwić dublerkę.

- Wydawało mi się, że nie znalazłaś nikogo innego.

- Jest milion osób, do których mogę zadzwonić, ale ty jesteś moją najlepszą przyjaciółką. - Głos jej lekko zadrżał. - Sądziłam, że

udział w takiej imprezie sprawi ci frajdę - zakończyła łzawo-dramatycznie.

W takich wypadkach Julia szczerze żałowała, że jej przyjaciółka uczęszczała do szkoły teatralnej. Bonnie zachowywała się tak, jakby zdawała egzamin aktorski przed surowym jury. Po prostu dawała z siebie wszystko.

- Jeśli wolisz sterczeć wieczorami w domu, oglądając „Ulicę Sezamkową” z dziećmi i gryzmołąc swoje historyjki, to twoja sprawa - dodała na bis.

- Dobrze, że mi przypomniałaś - powiedziała Julia, bawiąc się wążutkiem paseczkiem oplatającym prawą kostkę. - Kasety z Barneyem leżą na stoliku obok filmów z Olsenkami. Powiedziałam dzieciom, że marzysz o tym, by urządzić im mały festiwal filmowy.

- To okrutne i nieludzkie - ponuro mruknęła Bonnie. - Nie lubię tej strony twojego charakteru, Julio.

Julia zaśmiała się i wstała, kołysząc się jak płacząca wierzba na wicherze.

- Ostatni raz mój środek ciężkości przesunął się podobnie jak teraz, kiedy byłam w ciąży z bliźniakami. Czy naprawdę spodziewasz się, że będę w czymś takim chodzić?

- Tak, spodziewam się też, że będziesz ich strzec na równi z własnym życiem.

- Sądzę, że parę godzin spędzonych z chrześniakami dobrze ci zrobi. Spojrzysz na życie z innej perspektywy.

- Nawzajem, Kopciuszkę - odcięła się Bonnie. - Najwyższy czas, żebyś cisnęła w kąt swoje buciory i włożyła balowe pantofelki.

- Błagam, obiecaj, że nie będzie tam żadnych tańców.

- To była metafora.

I chwala Bogu. Utrzymanie się w pionie byłoby dość trudne.

Julia powtórzyła szybko całą litanię codziennych czynności przy dzieciach, przekazując najważniejsze numery telefonów, warianty jadłospisów i rytuały kładzenia do łóżka.

- Dopilnuj, żeby pod żadnym pozorem nie zbliżały się do mojego biura. Mam otwarte dwa mackintoshe i składam nowy komputer. Niestety to miejsce nie jest wystarczająco zabezpieczone przed dziećmi.

- Zrozumiałam. - Bonnie udawała, że zapisuje instrukcje w wirtualnym notatniku.

- I trzymaj się z dala od mojego laptopa.

- Wyczuwam nutkę podejrzliwości w twoim głosie.

Julia ryknęła śmiechem.

- Och, nie rób takiej oburzonej miny, Bonnie. Wiem, że lubisz sobie pomyszkować, ale wara od mojego laptopa.

- Nie myszkowałam, jak to miło określiłaś, w ubiegłym tygodniu. Szukałam aspiryny, więc nie mów, że grzebałam w twojej apteczce.

- Dobrze, tylko trzymaj się z dala od mojego laptopa. Poznam, jeśli choćby tylko chuchniesz na klawiaturę.

- Nie zamierzam czytać twojego pamiętnika, jeśli to cię niepokoi.

- Bingo! Za dobrze cię znam, Bonnie Benitez. Lubiałaś węszyć już w zerówce, lubisz węszyć i teraz.

- Zerknęłam do twojego pojemnika z kanapkami. Miałam wtedy pięć lat! Podaj jakiś inny... - Bonnie urwała, gdyż przy drzwiach wejściowych rozległ się klakson z melodią marsza weselnego. - Zatłukę tę moją kuzynkę - warknęła. - A tak prosiłam Rachel, żeby nie brała tej beznadziejnej białej ślubnej limuzyny.

W skrytości ducha Julia była zadowolona z dziwnego, zajmującego dwa miejsca parkingowe samochodu. Bonnie może kręcić nosem na ślubną limuzynę, lecz ona nie mogła się już doczekać, kiedy usadowi się na tylnym siedzeniu i przejedzie Mostem Brooklyńskim na Manhattan. Chciała poczuć zapach luksusowej skórzanej tapicerki i patrzeć, jak inni kierowcy usiłują zajrzeć do środka przez przyciemnione szyby, żeby rzucić na nią okiem.

Pisywała poradniki i instrukcje na prawie wszystkie tematy, od drabinek pożarowych po „jak pozbyć się czkawki”, a dzisiejsze doświadczenie mogło się okazać kopalnią złota. Przy odrobinie szczęścia wyciśnie z przygody trzy albo cztery zlecenia, zaś dodatkowe pieniądze zasilą wciąż niewielki fundusz na studia bliźniąt.

Jednak poza perspektywą wpłacenia do banku paru dolców było coś jeszcze, co ją o wiele bardziej ekscytowało. Nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się taka zadbana i dopieszczona, taka kobieca. Może nie jest piękna, ale jeszcze nigdy nie zbliżyła się tak bardzo do tego stanu i zamierzała cieszyć się każdą chwilą nieznanego, acz przyjemnego doświadczenia.

Nawet za cenę noszenia tych idiotycznych pantofli.

- Oho, całe Bay Ridge wyległo, żeby asystować przy twoim wyjściu - powiedziała Bonnie, kiedy przystanąły na werandzie trzyrodzinnego domu z czerwonej cegły.

- Pewnie przez tę limuzynę. Myślą, że to porwanie.

Julia mieszkała w przyjaznej i zżytej z sobą dzielnicy dwu- i trzyrodzinnych domów należących do imigrantów i ludzi zasiedziały, dla których pojawienie się w tym miejscu białego krążownika z wymalowanymi po obu stronach gołąbkami i kampanulami było intrygującym wydarzeniem. Na ulicy stali pani Wasserstein, przemiła właścicielka domu, w którym mieszkała Julia, jej synowa z trójką dzieci, starszy pan Domenico z przeciwka, jego partnerzy od gry w bocce, rodzina Lopezów z rogu, Srini i Anu z sąsiedniego domu, Ida i Bill Lukinovich ze sklepu dla wideoamatorów, listonosz Pete... tyle znajomych twarzy.

Oczywiście, że bez okularów te znajome twarze były rozmazane jak miękko rysowany obraz, więc Julia uśmiechała się w bliżej nieokreślonej przestrzeni w nadziei, że tak będzie najlepiej.

- Wyglądasz bosko! - oświadczył Terri DiGregorio z domu dziennej opieki przy parafii St. Matthew's. - Kto by pomyślała

- Widzisz te włosy? Urosły przez noc co najmniej o trzy centymetry! - Mary O'Fallon szturchnęła w bok swoją siostrę Brigid. - Może jest jakaś nadzieja i dla nas - powiedziała teatralnym szeptem, a wszyscy się roześmieli.

Większość mężczyzn przyglądała się Julii w milczeniu, z zainteresowaniem towarzyszącym zwykle podwójnemu meczowi drużyny baseballowej Nowy Jork Mets.

Była tą samą kobietą, na widok której, kiedy wyskoczyła dzisiaj rano z domu w szlafroku i boso po poczcie, prawie wszyscy ziewali, gdy tymczasem teraz wpatrywali się w nią tak, jakby była boginią wśród zwykłych śmiertelnych.

- Zawstydzasz tę drugą Julię - odezwała się pani Wasserstein. - Wyglądasz jak księżniczka z bajki.

- I zaczynam się czuć jak ona. - Poczuła coś bardzo miłego, takie specyficzne podniecenia, o którego istnieniu dawno zapomniała. - Dziękuję za zajęcie się dziećmi, kiedy Bonnie dokonywała tego cudu przy mojej osobie.

Pani Wasserstein zbyła te słowa machnięciem ręki.

- Jesteś piękną dziewczyną, brakowało ci tylko nowej sukienki i miejsca, gdzie możesz się zaprezentować. Danny, niech mu Bóg wynagrodzi za jego dobroć, byłby bardzo szczęśliwy - dodała, zniżając głos.

To prawda, pomyślała Julia. Danny kochał życie i wymógł na niej obietnicę, że nie spędzi reszty życia na opłakiwaniu go. Łatwiej jednak powiedzieć, niż zrobić. Julia opłakiwała długo i gorzko śmierć męża. Była w ciąży z bliźniakami, kiedy Danny umarł, i przed długi czas dzieci stanowiły jedyny powód, dla którego w ogóle podnosiła się rano z łóżka.

Ale stopniowo, tak jak jej wszyscy obiecywali, czas rzeczywiście uleczył jakże głęboką ranę. W ostatnich czasach na stronach jej dziennika pojawiła się nowa treść, świadcząca o rodzącej się nadziei na to, że może w jej życiu znów zaświeci słońce.

- Widzieliście to? - Pani Wasserstein wskazała nogi Julii i pantofelki Manola Blahnika. - Nasza dziewczynka nie kupiła ich sobie w pierwszym lepszym sklepie.

- Mamusiu? - rozległ się słodki i dźwięczny głosik Kate, kiedy na moment ustały śmiechy i trajkotanie. - To ty?

Daniel, który obserwował świat od strony pani Wasserstein, spojrzał jeden raz na Julię i zaniósł się płaczem. Był wrażliwym dzieckiem, takim, które dźwiga ciężar świata na swoich małych ramionach. Zmiana wytrąciła go z równowagi. Lubił, żeby życie było przewidywalne jak szklanka mleka.

- Dziwnie pachniesz - powiedział, marszcząc nosek.

- Tylko dzisiaj, synku. Jutro znów będę normalną pocziwą mamusią. Zegnaj Obsession, zarezerwowane dla gwiazdy filmowej, witaj Irish Spring, dobre dla domowej kury.

Daniel pozostał nieprzekonany, ale Kate była absolutnie zachwycona nową, ulepszoną wersją matki. Zagruchała z zadowoleniem na widok sukni, przeniosła wzrok poniżej wąskiej spódnicy, żeby podziwiać pożyczone Blahniki, zabawiła się w a kuku pod wydatnym, szeleszczącym trenem i koniecznie chciała się pobawić w stylistkę z wydłużonymi włosami matki.

- Wyglądasz jak Barbie - orzekła, co oznaczało najwyższą pochwałę z perspektywy czteroletniej modnisi.

- Dałabyś spokój! - jęknęła Rachel ze ślubnej limuzyny i nawet Julia nie mogła powstrzymać śmiechu.

Trzeba było jechać. Julia jeszcze raz pocałowała dzieci, poprosiła panią Wasserstein, żeby później zajrzała do Bonnie, „ot tak,

na wszelki wypadek", i już kroczyła w kierunku białego auta. Fakt, że była w stanie utrzymać się w pozycji pionowej na tych błyszczących szczudłach przywiązanych paskami do jej stóp, był dość zaskakujący, ale w końcu jeszcze nigdy nie sunęła majestatycznie przed siebie.

- Zaczekaj! - Bonnie błyskawicznie wkroczyła do akcji. -

Pozwól, że potrzymam ci tren!

Takich słów Julia nie usłyszy już pewnie nigdy w całym swoim życiu, chyba żeby okazała się następczynią angielskiego tronu.

Bonnie była niesamowita. Szybkim ruchem zgarnęła metry materiału i pomogła przyjaciółce wsiąść do limuzyny w iście teatralnym stylu.

- Gdzieś się tego nauczyłaś - zapytała Julia, sadowiąc się ostrożnie na tylnym siedzeniu.

- W szkole aktorskiej. - Bonnie odłożyła tren.

- Grałam pokojówkę.

Rachel stuknęła w kierownicę jasnoczerwonymi błyszczącymi paznokciami.

- Mam jeszcze inne zlecenia - burknęła.

- Mylisz się - odparowała Bonnie. - Jesteś mi winna sześć godzin, Rachel Benitez, i ani sekundy mniej.

- Chyba mnie nie wysadzi i nie zostawi samej na Manhattanie? - zaniepokoiła się Julia.

- Ten strój nie pasuje do metra.

- Rachel wysadzi cię przy wejściu dla personelu i zaczeka tam na ciebie - oznajmiła kategorycznym tonem Bonnie. - Prawda, Rachel?

- Niech ci będzie.

- Jak już tam dojedziecie, przypilnuj, Julio, żeby zaparkowała przy krawężniku. Na Manhattanie nigdy nie wysiadaj od strony jezdni. To pewna śmierć. - Bonnie podniosła głos. - Słyszysz mnie, Rachel?

- Krawężnik. Siedzę każde twoje słowo.

- Przerzuć tren na lewą stronę, przełóż nogi na prawo, a potem wysiądź z samochodu. Przy wejściu dla personelu nie będzie portiera, a nie sądzę, żeby nasza królewna rwała się do pomocy, więc będziesz musiała radzić sobie sama.

- To także słyszałam - odezwała się Rachel.

- Pozwól mi pójść w tych pantoflach do klubu w przyszły weekend, a zaniosę ją na rękach aż do drzwi.

Bonnie posłała kuzynce mordercze spojrzenie.

- To są czarodziejskie pantofle. Kiedy miałam je ostatnio na nogach, dorwałam rolę w reklamie gumy do żucia i dzięki temu mogłam zapłacić czynsz.

Rachel parsknęła tak donośnie, że pewnie było ją słychać trzy przecznice dalej.

- Gdzieś na Brooklynie jest dom, który spadł na czarownicę.

- Cytowałam „Kopciuszkę” - odburknęła Bonnie - a nie „Czarownika z krainy Oz”. I przestań się śmiać, bo tylko ją tym zniechęcasz.

- Jeżeli pantofelek pasuje - mruknęła Julia i została wynagrodzona lekkim szturchnięciem w przedramię za wczucie się w rolę.

- Podaj mnie do sądu - powiedziała Bonnie. - Osobiście uważam, że odrobina szczęścia jeszcze nikomu nie zaszkodziła i że czasami trzeba tylko mu pomóc. Jestem optymistką i twierdzę, że przydarzy ci się coś wspaniałego już dziś wieczorem.

Rachel uruchomiła silnik, natomiast Julia postanowiła, że postara się nie wracać metrem do domu.

Ponieważ ruch na jezdni był raczej niewielki, przejechały Most Brooklyński w rekordowo szybkim czasie. Julia otworzyła komórkę i sfotografowała wypasiona drewnianą deskę rozdzielczą, butelkę szampana z etykietką w kwiatki i pantofle Bonnie.

Z przodu Rachel mruknęła coś, czego nie powiedzieliby nawet w kablówce, zaś do Julii dotarło, że stoją w miejscu.

- No to mamy niezły korek - rzuciła przez ramię Rachel. - Park Avenue jest zablokowana stąd aż do 40 Ulicy. Na dobrą sprawę mogę wyłączyć silnik.

- Która godzina?

- Pięć po szóstej.

Nie trzeba być Einsteinem, żeby policzyć, ile zostało czasu.

- Chyba dalej pójde pieszko.

- W tych pantoflach?- Nie dojdiesz nawet do rogu.

- Masz rację. - Julia zaczęła rozpinąć paski. - Więc je zdejmę.

Nie minęło dziesięć minut, jak Jack zatrzymał się trzykrotnie, poproszony o autografy, dwukrotnie, żeby dać się sfotografować, i raz, żeby wyrazić zgodę na ojcostwo.

Z wyjątkiem próśb o dawstwo spermy nigdy nie był dobry w odmawianiu fanom. Wystarczyło, żeby znalazł się twarzą w twarz z

ludźmi, którzy wybulili dziesięć dolarów na bilet na jeden z jego filmów, a już miękł jak wosk w ich rękach.

Przyśpieszył kroku i pozostawał głuchy na pozdrowienia wykrzykiwane z mijających go samochodów i klaksony trąbiące na jego cześć.

- O Boże! O matko przenajświętsza! - Piskliwy dziewczęcy głos rozległ się po drugiej stronie alei. - Jack Wyatt, uwielbiam cię...!

Głos, sądząc po brzmieniu, należał do bardzo młodej osoby. Jack nakazał sobie nie patrzeć w tamtą stronę - kontakt wzrokowy mógł być zgubny - ale gburowatość nie leżała w jego naturze, więc przekrzywił głowę w momencie, kiedy nieduża postać wystrzeliła jak z procy na jezdnię.

Momentalnie podskoczyła mu adrenalina i już po chwili stał na środku Park Avenue i zatrzymywał ruch, podczas gdy chuda dziewczynka, jeszcze nie nastolatka, uczepliła się jego ramienia i szlochała, jakby serce miało jej pęknąć.

- Nic ci nie grozi - powiedział, ściskając wątle plecy - ale byłoby lepiej, gdybyśmy wrócili na chodnik.

Przy krawężniku czekała na nich kobieta w średnim wieku, o wysokim czole i z groźną miną,

- Co ty najlepszego wyprawiasz, Gino? Dziewczynka, jakby nie słysząc słów matki, wciąż trzymała kurczowo rękę Jacka i łkała.

- Dobrze się czujesz? - zapytał ciepło, kucając przy niej.

Pokiwała głową, nie mając odwagi spojrzeć na niego.

- To, co zrobiłaś, nie było najmądrzejsze. Mogłaś wpaść pod samochód.

- Nie pomyślałam o tym. - Napotkała jego wzrok i natychmiast odwróciła oczy.

- No właśnie. - Pokiwał głową i został wynagrodzony uśmiechem. - Więcej tego nie zrobisz, prawda-

- Nie.

- No to przypieczętuujmy to, dobrzeć - Wyciągnął rękę i otrzymał w zamian mocny uścisk dłoni i szeroki uśmiech.

- Postąpiła niemądrze, ale nie zrobiła nic złego - zwrócił się do zagniewanej matki. - Mam nadzieję, że weźmie pani to pod uwagę.

- Porozmawiamy, kiedy wychowa pan swoje dziecko - warknęła kobieta, wzięła córkę pod rękę i pociągnęła za sobą.

Zaczął się zbierać tłum. Jack szybko złożył parę autografów, ustawił się do zdjęcia z aparatu komórkowego, po czym wymknął się i ponownie włączył w ruch uliczny.

I właśnie wtedy dopadło go przeznaczenie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gdzieś za nim rozległ się nisko brzmiący kobiecy głos:

- Nic panu nie jest?

- Co się stało? - wyrzęził Jack, łapiąc oddech. - Wpadłem pod ciężarówkę?

Tylko tym mógł wytłumaczyć fakt, że wyłożył się jak długi pośrodku Park Avenue i chwycił powietrze jak karp wyrzucony z wody.

- Przepraszam, powinnam była najpierw popatrzeć.

Widział wprawdzie tylko zgrabne stopy kobiety w eleganckich pantoflach, ale nie miał wątpliwości, że i reszta jest boska.

- Co to było, czołg? - Z wielkim trudem przyjął pozycję siedzącą, żeby wyglądać choć trochę jak macho.

- Limuzyna.

Przyjrzał jej się na tyle, na ile mógł. Była wysoka, o krągłych kształtach, pokryta długą kolumną z brązu i miedzi, która otulała jej ciało niczym druga skóra i przywoływała na myśl zachody słońca na Hawajach.

- Pani prowadzi limuzynę ?

- Nie, ale jechałam nią i skosiłam pana drzwiami, kiedy wysiadłam.

- Następnym razem proszę najpierw się rozejrzeć.

- Pan mnie nie słuchał. - Nie podniosła głosu, a zresztą nie musiała. Była ruda. - Pan też mógłby uważać, jak pan chodzi.

Wstał ostrożnie, świadomy narastającego bólu. Gdzie, u licha, jest dubler, kiedy go potrzebuję?

- Wygląda pan, jakby miał pan zemdleć - powiedziała nieznajoma, na której jego wybitne warunki fizyczne nie robiły najmniejszego wrażenia. - Proszę usiąść na krawężniku i wsadzić głowę między kolana, a ja zadzwonię na 911.

Wszystko to śmierdziało przygotowaną zawczasu pułapką. Ruda babka przygotowana do zdjęć. Ślubna limuzyna z wymalowanymi na bokach serduszkami i kwiatkami. A na wszystkim wypisany wołami tytuł jakiegoś brukowca.

Rozejrzał się wokoło.

- Okej, więc gdzie oni są?

- Kto gdzie jest?

Oho, odpowiedziała pytaniem na pytanie. Albo jest bardzo bystra, albo jest rodowitą nowojorczańką.

- Paparazzi.

- To, co pan mówi, nie ma sensu. - Wykonała taki gest, jakby zalecała, by Jack stuknął się w czoło. - Poza tym poci się pan jak mysz. Proszę usiąść, zanim się pan przewróci.

- Nic mi nie jest. - Oczywiście, że poci się jak mysz. Rude zawsze tak na niego działają.

Otworzyła błyszczącą torebkę i wyjęła komórkę. Nie, skreślić - komórkę z aparatem.

Wcale go to nie zdziwiło. Witaj wieku technologii. Można pstryknąć zdjęcie i natychmiast, za naciśnięciem jednego klawisza, wysłać je do „Enquirera”.

Tyle że ona nie pstrykała zdjęć, tylko naprawdę rozmawiała przez telefon.

- ...tak - słyszał, jak mówi - mężczyzna, około trzydziestu sześciu lat...

- Trzydzieści cztery - skorygował. Posłała mu spojrzenie, po którym niejeden facet najchętniej zapadłby się pod ziemię.

- Trzydzieści cztery - powiedziała, wznosząc oczy do góry. - Tak, mężczyzna... Uderzyłam go w brzuch drzwiami samochodu... Nie, nieumyślnie. Mam wrażenie, że potrzebna mu będzie...

Przechwycił jej komórkę.

- Nic mi nie jest - rzucił do słuchawki. - Nie, żadnego problemu... zaszło nieporozumienie... dziękuję.

- Nie należało się wyłączać - stwierdziła, kiedy zwrócił aparat. - Wzywałam karetkę.

- Nie potrzebuję karetki - odparł ze złością. - Tylko sekundy, by złapać oddech.

- A skąd pan wie, że to nie jest wstrząśnienie?

- Nie uderzyłem się w głowę.

- A jeśli jednak uderzył pan nią o chodniki Ma pan nieco zmałowany wzrok.

To zabolalo go bardziej niż uderzenie drzwiami w brzuch. Większości kobiet podobały się jego oczy.

- Po prostu na moment trochę mi pociemniało.

- Więc powiada pan, że nic panu nie jest?

- Tak, to właśnie mówię.

Miała irytujący sposób patrzenia prosto w oczy.

- Skoro tak, to dlaczego trzyma się pan za brzuch? - Gdy szybko opuścił ręce, dodała bez cienia ironii: - Marny z pana aktor. Mój czteroletni syn robi takie same oczy, kiedy obciera sobie kolana i nie chce pokazać po sobie, jak bardzo go boli.

- Jeszcze nikt nie porównał mnie do czterolatka. - A do tego nazwał marnym aktorem. W każdym razie nigdy prosto w oczy.

- Niech pan to potraktuje jako komplement. Mowa o wyjątkowym czterolatku.

Może ta kobieta miała rację. Może powinien usiąść na krawężniku i włożyć głowę między kolana, ale z całkiem innego powodu. Bogini kompletnie wytrąciła go z równowagi. Nie wiedział, czy z nim flirtuje, czy kpi sobie, czy ustawia go do fotografii.

Jedno nie ulegało wątpliwości: była młoda i piękna, i to w inny sposób niż znane mu młode i piękne kobiety. Duże brązowe oczy były delikatnie podkrążone. Drobnutkich mimicznych zmarszczek na czole nie maskowały żadne natryski czy zastrzyki botoksu. Twarz odzwierciedlała jej życie. Pewnie dlatego nie mógł oderwać wzroku ani złapać oddechu.

Zniknęło całe miasto. Ruch uliczny, budynki, śpieszący się ludzie - wszystko to gdzieś się ulotniło. Byli tylko oni dwoje... tylko ona... i nie spływała po czerwonym dywanie, tylko stała na białym kobiercu zasypianym różami, a on czekał na nią przy ołtarzu, gdzie...

- Coś mi się zdaje, że ten hummer wali prosto na nas.

Zamrugał na dźwięk jej głosu, a domy wokół pojawiły się na powrót w całej ostrości. Czuł się jak uczestnik wyprawy w kosmos, który wraca na ziemię po długiej nieobecności. Odruchowo sięgnął po

rękę nieznajomej, ale sam dotyk delikatnej skóry omal nie przyprawił go o ponowną utratę równowagi.

Coś z nim nie tak, do licha!

Należał do facetów, którzy nie cofają się przed niebezpieczeństwem. Tyle razy figurował na liście Najbardziej Pożądanych Mężczyzn na Świecie, że na stałe wpisał się do panteonu sławnych ludzi.

W tej chwili Najbardziej Pożądany Mężczyzna na Świecie czuł się jak piętnastolatek, który nie zakończył jeszcze mutacji, jak smarkacz, który musi zdobyć się na odwagę i zaprosić najładniejszą dziewczynę w klasie na szkolny bal.

Jeśli kontakt ich rąk zaburzył choćby w najmniejszym stopniu równowagę jej ducha, to pozostanie to najpilniej strzeżoną tajemnicą w mieście. Czytał na temat tego rodzaju chemii, która zwykle bywa dwustronna. Wykluczone, żeby poczuł coś takiego bez reakcji z drugiej strony. Jeśli doda się dwa atomy wodoru do jednego atomu tlenu, otrzyma się wodę. Tak samo gdy weźmie się mężczyznę, którego powalił grom z jasnego nieba, i doda do tego rudą kobietę o orzechowych oczach, która...

Zaraz, chwileczkę. Przewinał w myślach taśmę.

„Mój czteroletni syn”.

Jak mogło mu to umknąć ?

Skoro ma dziecko, to znaczy, że pewnie jest też jakiś mężczyzna, który strzeże teraz ogniska domowego.

Zerknął na jej palec serdeczny.

Potem drugi raz. Może jednak nie?

Potknęła się o krawężnik, więc ją przytrzymał. Właściwie nie potrzebowała tego, ale szukał pretekstu, żeby dotknąć jej jeszcze raz.

- Dziękuję. - Otworzyła błyszczącą torebkę i wyjęła parę okularów optycznych w czarnej oprawce, włożyła je i zaśmiała się z nutką samokrytycyzmu. - Właściwie kogo ja próbuję oszukać? - Bez nich widzę tyle, co na wyciągnięcie ręki.

I nadal go nie poznała.

I nadal było mu to obojętne.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio widział kobietę mrużącą oczy w taki sposób. W Hollywood nikt nie mruży oczu. To powinno być prawnie zabronione. Do tego śmiała się zabawnie, coś między chichotem i westchnieniem, co trafiało prosto do serca.

Może rzeczywiście uderzył głową o beton? Jak inaczej wyjaśnić to zauroczenie? Weźmy na przykład te okulary. Przecież powinna wyglądać absurdalnie w czarnych okulkach bibliotekarki w połączeniu ze strojem diwy. Tymczasem efekt był tak piorunujący i sexy, że odjęło mu mowę.

Po raz drugi w ciągu niecałych dziesięciu minut poczuł się tak, jakby nieznana siła, nad którą nie miał kontroli, powaliła go na ziemię. Potrzebował pełnych dwudziestu sekund, żeby dotarło do niego, że nieznajoma mówi mu do widzenia.

- ...czułabym się lepiej, gdyby obejrzał pana lekarz - powiedziała, a w jej oczach dojrzał troskę. - Pokryję wszystkie koszty.

Miała orzechowe oczy z ciemnogrnatowymi i złotymi plamkami. Nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego. Niebieskie oczy w porównaniu z tym kolorem wyglądają jak sprane i zużyte.

- Jesteśmy na Park Avenue, a ja mam na sobie smoking. Stać mnie na lekarza. - Złamas. Po diabła to powiedział- Była pół kroku od podania mu swojego nazwiska, adresu i numeru telefonu.

- Ależ to nie pan powinien płacić! To ja spowodowałam wypadek.

- Jaki wypadek? - Teraz przemówił jak rodowity nowojorczyk. - Poza tym, że mam pęknięte żebra, czuję się jak nowy.

- To wcale nie jest śmieszne - odparła, ale posłała mu ten swój żywy jak srebro uśmiech.

- Słusznie pani zauważyła, że powinienem uważać, jak chodzę. - To była jego druga szansa na zdobycie jej numeru telefonu.

- To ja powinnam była się rozejrzeć, zanim otworzyłam drzwi. -I znowu ten sam srebrzysty uśmiech, tyle że szerszy. - Na pewno nie potrzebuje pan lekarza?

- Na pewno nie potrzebuję lekarza. - Trzy chybione strzały i na własne życzenie wypadł

Nieznajoma zarzuciła tren sukni na lewe ramię, a on zobaczył, jak idealnie materiał układa się na jej krągłościach.

Czy miała świadomość tego, co z nim wyprawia?

- Niech się pan wystrzega białych limuzyn.

Zanim zdążył pomyśleć głową, a nie spodniami, zaczęła się oddalać w stroju, który był na pewno najlepszą pożegnalną szatą na ziemi. Ale on za nic nie pozwoli jej odejść.

Czuła na sobie wzrok nieznajomego, kiedy boso sunęła wzdłuż Park Avenue. Czy mogła mieć o to do niego pretensję? Nie każdego dnia mężczyzna widuje kobietę o rozłożystych biodrach, która na

bosaka maszeruje Park Avenue w podróbce Versace, z trenem na ramieniu, jakby to była toga.

Każde cząstka jej ciała domagała się od niej, żeby odwróciła głowę i wrzasnęła: „Przytyłam po dziecku!”, ale wówczas musiałaby jeszcze przyznać, że rzeczony dzieci, nie dziecko, mają już prawie po pięć lat i że te dodatkowe kilogramy, a konkretnie cztery i pół, mają więcej wspólnego z czekoladą niż z porodem.

Pewnie nigdy nie widział ucywilizowanej kobiety o rozmiarze 10 i nie może uwierzyć własnym oczom. Tak to jest z nieprzytomnie przystojnymi mężczyznami, którzy domagają się tych samych nieziemskich standardów od zwykłych śmiertelniczek. Wolała go przed włożeniem okularów, kiedy sądziła, że jest zwykłym facetem.

Gap się, ile tylko chcesz, pomyślała. Może na Manhattanie obowiązuje zakaz noszenia dwucyfrowych rozmiarów, ale na Brooklynie, chwała Bogu, jeszcze nie, bo w przeciwnym razie połowa żeńskiej populacji byłaby w drodze na zesłanie do New Jersey.

Wiedziała, jak postąpiłaby Bonnie. Odeszłaby krokiem modelki i facet miałby na co popatrzeć. No tak, ale Bonnie nie ma bioder kobiety, która urodziła bliźnięta. Jeśliby Julia spróbowała zakołysać swoimi biodrami perszerona, to facet raczej odwróciłby wzrok.

Na samą myśl o kobyłach ubranych w pantofle od Manola Blahnika i kołyszących biodrami na wybiegu dla modelek roześmiała się głośno, co nastąpiło w momencie, kiedy facet chyłkiem podsunął się do niej.

- Wygląda na to, że idziemy w tym samym kierunku.

Ciepły baryton rozbrzmiał przy jej lewym uchu i gdyby nie niosła pantofli w rękę, wyskoczyłaby z nich z wrażenia.

- Czy matka nigdy panu nie mówiła, że nie należy podkradać się do kobiet? - Przyśpieszyła kroku. - Powinien pan nosić na szyi pasterski dzwonek.

Tym razem to on ryknął śmiechem. Okej, ma poczucie humoru, ale nadal pozostaje nieznanym, który nie wykazał się rozumem i nie rozejrzał się, zanim wtargnął na jezdnię.

Zrównał się z nią i dostosował do jej kroku. W zasadzie powinna się cieszyć, że nie idzie za nią i nie dokonuje oceny rozmiarów jej tyłka, ale jego bliska obecność jeszcze bardziej wytrąciła ją z równowagi. Może wynikało to po prostu z jego postury. Zwykle to ona górowała nad ludźmi, włącznie z mężczyznami. Patrzenie na faceta z głową uniesioną do góry było jej obce, uświadamiało wyraźnie, że jest kobietą. Nie pisarką. Nie technikiem komputerowym. Nie matką dwójki dzieci. Kobieta.

Prawie zapomniała, jakie to uczucie.

Wszystko w nim było imponujące. Wzrost, ramiona, śmiech. Szorstko-słodki dźwięk jego głosu. Nawet oddychając, musiał fascynować otoczenie.

To nie znaczy, żeby interesował ją w jakikolwiek sposób na płaszczyźnie osobistej. Nic z tych rzeczy. Patrzyła na niego wyłącznie z pozycji osoby piszącej, gromadzącej w myśli materiał na ewentualny artykuł pod tytułem „Jak samotna kobieta ma radzić sobie w dużym mieście” albo „Jak odróżnić złych facetów od dobrych”.

- Gwoli ścisłości - odezwał się - ani mi w głowie panią podrywać.

Jego przekaz został wypowiedziany ze śmiertelną powagą, ale zdradził go błysk w oczach. Chodnik pod bosymi stopami Julii zniknął, zdawało się jej, że frunie w powietrzu.

- Naprawdę?- Jestem załamana.

- Z faktu, że oboje idziemy na południe, nic nie wynika. Zwykły zbieg okoliczności.

- To miasto jest wielkie i groźne - rzuciła, nie gubiąc kroku. - W grupie jest bezpieczniej.

- No właśnie, przekonałem się na własnej skórze, co pani potrafi z drzwiami samochodu. Myślę, że jestem w dobrych rękach.

- Ja pana tylko podciąłem. Długo jeszcze zamierza pan chować do mnie urazę?

Udał, że zerka na zegarek.

- Myślę, że jeszcze z piętnaście minut.

- Lepiej dwanaście.

- Przemawia pani jak adwokat.

- Jestem pisarką - wyjaśniła. - Okej, pisar-ka-ukośnik-technik komputerowy.

- Pisarka - powtórzył, jakby mu to zaimponowało bardziej, niż gdyby oznajmiła, że pomaga ludziom odzyskiwać zaginione mejle z niezgłębionych czeluści firm internetowych AOL i Earthlink.

- Ma pan coś przeciwko pisarzom?

- Hm... to zależy. Chyba nie pisze pani dla brukowców?

Co za dziwaczne pytanie.

- W ostatnim roku sprzedalam dziełko mówiące o tym, jak kupować zmywarke do naczyń.

- Pani sobie żartuje.

- Musi pan wiedzieć, że artykuł został przedrukowany w „Readers Digest”. Gdyby zdarzyło się panu choć raz w życiu umyć jakiś talerz, rozumiałby pan, jak ważną rzeczą jest wybór dobrej zmywarki.

- Wbrew temu, co pani sądzi, zmywam naczynia codziennie.

- Nie zmywa pan.

- Strasznie pani pewna siebie.

- Sprzedałam do „Glamour” kawałek na temat „pierwszego wrażenia”. Moje badania dowodzą, że w sprawach pieniędzy pierwsze wrażenia prawie zawsze się potwierdzają.

- Nie ten przypadek, Ruda. - Jego uśmiech zmuszał do uściślenia pojęcia „ośniewający”. Przy nim Tom Cruise wyglądał jak człowiek potrzebujący regulacji zgryzu. - Kiedy pierwszy raz przyjechałem do Nowego Jorku, pracowałem w jadłodajni trzy przecznice stąd.

- Jako kelner?

- Za wysokie progi. Zmywałem naczynia, gary i rondle, szorowałem grille i sztucce, a nawet zaświnionych gości.

- Jasne. Może to byłby materiał na artykuł?

- Opowieść manhattańskiego pomywacza?

- Nie, miałam na myśl raczej coś w rodzaju „Jak posprzątać kuchnię w pięć minut?”, ale pański pomysł też nie jest najgorszy.

Rzucił jej takie spojrzenie, po którym wybuchnęli śmiechem.

Więc czym on się zajmuje, co wymaga aż oficjalnego stroju? Bonnie zapytałaby go o to prosto z mostu, ale Julia wolą pospekulować.

Lekarz? (Zbyt łatwo się rozprasza). Adwokat? (Zbyt zabawny). Astronauta? (W życiu by się nie zmieścił w tych małych kabinach). Aktor bez przydziału, dorabiający jako klakier? (Tak, to jest możliwe).

A może po prostu jest singlem udającym się na jednonocny podryw?

Julia, która już dawno odpadła z rynku randkowego, zapomniała, że dorosłe single mają zwyczaj przywdziawać specjalne stroje i łączyć się w pary w sobotni wieczór. Tak, to miałyby sens. Mężczyzna z takim wyglądem nie może być samotny. Wykluczone! Kobiety pewnie ustawiają się w kolejce pod jego drzwiami, zdzierają z siebie i rzucają w jego stronę bieliznę i numery telefonów. Nie winiłaby za to faceta, który ma ego wielkości stadionu Giantsów!

A tymczasem znajdowali się tu, gdzie się znajdowali, maszerując w milczeniu, które było zadziwiająco przyjazne. Nie czuła potrzeby wypełnienia luki paplaniną, podobnie jak on. Była nawet bliska pogodzenia się z jego wyjątkową urodą. Dlaczego miałyby mieć mu to za złe? Tak jak ona nic nie poradzi na to, że ma rozłożyste biodra, tak on nic nie poradzi na to, że jest fantastycznie przystojny.

Tyle że to wszystko nie miało sensu. Nie należała do stadnych osób, które wkraczają na koktajl i skupiają na sobie uwagę wszystkich. Była typową maniaczką komputerową, obserwatorką, jedną z tych spokojnych pań, które w kącie coś tam sobie notują.

Zazwyczaj była, jak jej syn Daniel, nieskora cło wylewności i okazywania uczuć. Należała do tych, co to gdy raz odda serce, to już na dobre.

Nie chodzi o to, żeby jej serce znajdowało się w niebezpieczeństwie. Absolutnie! Zwykła figura retoryczna.

Obok zwolniła żółta taksówka i toczyła się w ich tempie, a Jack przygotował się na to, co było nieuniknione. Kierowca przechylił się do otwartego okna i krzyknął:

- Co za niespodzianka!

Idąca obok bogini zmarszczyła brwi.

- Może podwieźć? - zawołał taksówkarz.

- Damy sobie radę - odkrzyknął Jack z niewymuszonym uśmiechem. - Ale wielkie dzięki.

- Zawsze do usług. - Taksówka zniknęła, włączając się ponownie do ruchu.

- Od kiedy taksówkarze sami zaczepiają klientów?

- Może to z powodu tej zabójczej sukni, którą ma pani na sobie.

- Dziwne, że więcej samochodów nie zatrzymało się, aby popatrzeć na nią z bliska.

- Bardzo sprytnie, ale on zwracał się do pana i... auu! -

Przystanąła i obejrzała spód prawej stopy. - Weszłam na kamyk.

- Oby to był kamyk, a nie jakieś paskudztwo, których tu nie brakuje.

Wzdrygnęła się, a tren jej sukni zaczął zsuwać się z ramienia.

- Nie chcę tego słyszeć.

Może sprawił to widok mleczej karnacji jej ramienia, wyłaniającego się spod migotliwego trenu jej sukni. A może dokonał tego wyraz oczu albo sposób, w jaki słońce zamieniło grzywę jej włosów w cudownie żywy ogień. Nie miał pojęcia. Pewny był tylko jednego: po raz pierwszy od lat znajdował się dokładnie tam, gdzie chciał być.

Pozwolił oddalić się obrazowi bogini w długiej białej szacie, płynącej w jego stronę w morzu płatków róży, i wskazał na zawieszane na przegubie jej dłoni pantofle.

- Nie wiem, jak to pani powiedzieć, ale na mojej planecie nosimy je na nogach.

- A na mojej planecie wkładamy je tylko na specjalne okazje. - Podniosła rękę i dwunasto-centymetrowe szpilki znalazły się na wysokości oczu. - Jak daleko by pan w tym zaszedł?

- Bardzo celne spostrzeżenie - przyznał, choć nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad tym problemem. Mężczyźni się gołą. Kobiety chodzą na szpilkach. To wszystko stanowi część wielkiej kosmicznej układanki.

Uśmiechnęła się do niego i kontynuowali marsz w milczeniu, które tylko na chwilę zostało przerwane. Choć to nie było złowrogie milczenie ani pełne napięcia, czuł się niewyraźnie. Ilekroć na niego zerknęła, odnosił wrażenie, że czyta w jego myślach. Miał poczucie, że na skutek jego nieuwagi reguły rządzące światem zmieniły się nagle i niepostrzeżenie, a on jest tym ostatnim, który się o tym dowiaduje.

Złapał się na tym, że czeka na przebłysk świadomości, jakieś nagle olśnienie z jej strony, krótko mówiąc, czeka, że go w końcu rozpozna i wreszcie powie coś na ten temat, ale... nic.

Niektórzy ludzie reagowali na jego widok spontanicznie, jak ta dziewczynka, które wybiegła na jezdnię. Inni okazywali mu sympatię w spokojny sposób - skiniecie głowy, uśmiech. No i była jeszcze trzecia grupa. Do niej należeli ci, którzy udawali, że nie mają pojęcia, kim jest, jakby dzierżyli transparent z napisem: „Nic mnie nie obchodzi sławne osoby”.

Bosonoga bogini nie tylko zachowywała się tak, jakby go nie rozpoznała, ale był prawie pewny, że rzeczywiście tak jest. Nagle, po przejściu kolejnego kawałka alei, milczenie stało się trochę kłopotliwe. Zaczynało mu doskwierać, czuł, jakby uderzenie drzwiami limuzyny przeniosło go w zwariowany świat komiksu „Bizarro”.

- Więc nie ma pani nic przeciwko temu, żebym szedł razem z nią?

Popatrzyła na niego, mrużąc oczy, a on znowu sobie przypomniał, dlaczego rude robią na nim takie niesamowite wrażenie.

- Długo pan zwlekał z zadaniem tego pytania.

- Ale właśnie pytam. Znowu ten śmiech.

- Jest pan bardziej podobny do moich dzieci, niż myślałam. One również pytają i proszą o coś tylko wtedy, kiedy są pewne odpowiedzi.

- Ma pani więcej niż jedno dziecko?

- Dwoje. - Przynajmniej tym razem nie skarciła go za pytanie. -
Bliźnięta.

I nadal ma zabójczą figurę, pomyślał. Prawdziwa bogini, kobieta, której sprzyjają wszystkie potęgi Olimpu.

- A co porabiają, kiedy ich matka maszeruje bosą przez Park Avenue?

- Pewnie jedzą pizzę i oglądają filmy wideo z Olsenkami

- Z niańką? - Wyczuł zaporę z drutu kolczastego, zanim zdążył dokończyć słowo. - Przepraszam, nie chciałem być wścibski.

- Większość ludzi zaczyna od pogody, a potem przechodzi do spraw osobistych.

- Jak pani woli. Możemy zacząć od pogody.

Popatrzyła do góry.

- Słoneczna i sucha.

- Więc co pani sądzi o ostatnich wyborach?

- Polityka? - Potrząsnęła głową. - Przykro mi, ale to kontrowersyjny temat.

Kontrowersyjny? Pewnie rozwiązuje krzyżówki w „Timesie” od razu na czysto.

Jego ciekawość podniosła się o następny szczebel.

- Można jeszcze rozmawiać o religii.

- To nie jest dobry pomysł.

Wzruszył ramionami w swoim najlepszym „niech już będzie” stylu.

- No to został tylko seks.

Ich oczy się spotkały, kiedy przystanęli i czekali na zielone światło. To był Manhattan, gdzie nikt nie czeka na zielone światła.

Kolejny raz zapomniał, że stoją na rogu ulicy w samym centrum

Manhattanu i że wokół gromadzi się tłum ciekawskich. Widział tylko ją... widział tylko swoją przyszłość... pochylił się i...

- Eee! - Kolejny taksówkarz zatrzymał się na skrzyżowaniu. -
Ten twój ostatni to beznadzieja, ale żona wciąż za tobą szaleje.

- Dzięki - zawołał Jack, z trudem wracając do rzeczywistości. -
To samo mówiła o tobie.

Taksiarz ryknął śmiechem i w uznaniu posłał Jackowi kciuki w górę. Tłum gęstniał i okazywał coraz większe zainteresowanie.

Rudowłosa bogini popatrzyła na niego, a on zauważył zmianę wyrazu jej twarzy.

- Jest pan sławny?

Światła zmieniły się na zielone. Kiedy schodzili z krawężnika, szarmancko podtrzymał ją za lewe ramię.

- Zależy dla kogo.

Oblała się jaskrawym rumieńcem od ramion po włosy.

- Przepraszam... mam dwoje dzieci, a skoro pan nie gra w „Ulicy Sezamkowej”...

- Nie musi pani przeproszać.

Była tak zakłopotana, że w jednej chwili poczuł się zakłopotany za nich oboje.

- Jestem nawet do tyłu z kolejnymi wersjami „Wojen gwiazdnych”... tak naprawdę... Hm... ostatnim filmem, który widziałam w prawdziwym kinie, była „Legalna blondynka”, ale kiedy to było! Zdaje się, że bełkoczę... przepraszam... jest pan w smokingu... kieruje się na południe... powinnam była się domyślić, że udaje się pan do Pałacu Festiwalowego.

- Pani także?

- Tak... Jest mi naprawdę przykro, że pana nie rozpoznałam.

- Wystarczy tych przeprosin - powiedział, kiedy przeszli przez jezdnię. - Moje ego nie jest aż tak przewrażliwione.

- Naprawdę wydał mi się pan znajomy.

Właśnie o tym pomyślałam, zanim kierowca taksówki...

- Dajmy temu spokój. To nie ma znaczenia. - Przynajmniej nie na tyle, na ile by sądził.

- Ależ ma. To mi nie da spokoju do końca wieczoru. - Ponownie pojawił się ten jej żywy jak srebro uśmiech. - Niech mi pan podpowie.

- Może „Siła rażenia na pułapie stu tysięcy metrów”?

Potrząsnęła głową.

- „Fatalne oczarowanie”? Wielki sukces kasowy, mierne recenzje.

- Przykro mi.

- „Nieujarzmione serce”?

- Ja naprawdę mało bywam.

- Wygląda na to, że w ogóle pani nie bywa. Mówimy o klasyce, Ruda - powiedział ze śmiechem. - O dziełach, które będą umieszczone w kapsule czasu i zachowane dla potomności.

Posłała mu drwiące spojrzenie.

- Wygląda na to, że pańskie ego jest bardziej przewrażliwione, niż pan sądzi.

Zrobił taką minę, jakby został trafiony.

- Całe szczęście, że nie pisze pani recenzji filmowych. Dopiero by mi się...

- Jedną chwileczkę! - Złapała go za rękaw. - Już wiem, dlaczego wydał mi się pan znajomy. To ten pański głos! Czy nie użył pan głosu Phinneasowi P. Phrogowi w „Gryzaczkach”?

- Nie mogła pani zapamiętać filmu, w którym grałem rolę senatora z Massachusetts?

- Przykro mi. - Nie wyglądała na osobę, której jest przykro, raczej na taką, która zaraz pęknie ze śmiechu. - Ma pan fantastyczny głos. Wiedziałem, że skądś pana znam.

- Zostałem okradziony - powiedział. - Ebert&Roepert uważali, że moja interpretacja zasługiwała na Oscara.

- Scena śmierci z Gildą Goldfish była jak z Szekspira. - Och, jeszcze teraz gotowa była się roześmiać.

- Czy pani wie, że drga pani lewa powieka, kiedy sili się pani na sarkazm?

Jej lewa ręka powędrowała do oka, a on głośno się roześmiał.

- Trafiony zatopiony! - oświadczył. - Pięćset pięćdziesiąt milionów brutto w Stanach i osiemset dwadzieścia siedem milionów widzów na całym świecie. Mój największy hit filmowy, a dla pani jestem głosem tłustej żaby w meloniku z niezłym charakterkiem.

- Powinien się pan cieszyć. Ma pan bardzo charakterystyczny głos. W końcu pana rozpoznałam.

- Dziękuję - powiedział z przekąsem. - No więc jak się nazywam?

- Każdy to wie.

- Taak, a pani?

- Niech pan nie będzie śmieszny.

- No więc jak? - Jego szeroki uśmiech wystarczyłby na dwie twarze.

- Niech mi pan da chwilę - powiedziała w rozterce, nie wiedząc, czy ma się śmiać, czy nadrabiać zakłopotanie pewną siebie miną. - Zaraz sobie przypomnę.

- No nie, Ruda, dobija mnie pani. Zapamiętała pani imię głupiej żaby, a mojego nie może się pani domyślić.

- Nie robię nic pod przymusem - powiedziała, znajdując kolejną okazję do śmiechu. - Zaraz, przelecę tylko alfabet i będę dobra.

- Dwanaście lat pracy w zawodzie - podkpiwał z siebie żałośnie. - Nagrody, wielkie sukcesy kasowe, cztery oficjalne kluby fanów, a tej kobiecie potrzebny jest alfabet, żeby...

Doszli do rogu 53 Wschodniej Ulicy i bogini stanęła jak wryta.

- O rany! - jęknęła. - Chryste Panie!

Na wprost nich wznosił się Pałac Festiwalowy - nowoczesny budynek z przydymionego szkła i błyszczącego metalu. Czerwone, białe i niebieskie światła reflektorów przeczesywały niebo, podczas gdy podekscytowany tłum fanów forsował bariery, żeby choć zerknąć na te największe i najjaśniejsze gwiazdy. Ulica była zapchana - limuzyny, hummery, nowe vany, wozy policyjne, i jedna karetka pogotowia czekająca dyskretnie przecnicę dalej.

Te same co zawsze twarze, w wypożyczonych kreacjach, walczyły o chwilę dla siebie z każdym, kto miał mikrofon i łącze na żywo z milionami widzów.

Jack już od dawno nie zwracał na to uwagi. Wydarzenia następowały po sobie, rok mijał za rokiem, aż w końcu jedynym wyznacznikiem upływającego czasu stała się zmieniająca się moda.

- Nie do wiary - zachłysnęła się bogini.

- Wprawdzie Bonnie mnie uprzedziła, ale...

- Odjęło jej mowę. - To wygląda... jak... Chciał jej powiedzieć, że cała ta zadyma i ten park rozrywki urządzone na użytek telewizyjnych kamer są jak Disney nad Hudsonem, ale słowa uwięzły mu w gardle. Nieznajoma wybałuszyła oczy i trwała w zachwycie jak dziecko, a on nie chciał być tym, który pozbawi ją radości.

Kim jesteś? - zastanawiał się, napawając wzrok jej olśnieniem. Bosonoga bogini w sukni od Versace, matka dwójki dzieci pisząca o zmywarkach do naczyń, której w jakiś sposób udało się zdobyć zaproszenie na doroczne rozdanie nagród Nowojorskiego Festiwalu Filmowego, a która od blisko sześciu lat nie była nawet w kinie.

Poczuł na biodrze wibrujący sygnał komórki. To pewnie Clive zachodzi w głowę, dlaczego jeszcze go nie widać na czerwonym dywanie. Jack to zignorował. Życie jest krótkie, a druga taka okazja - czyli taka kobieta - może się już nigdy nie zdarzyć, więc musi ją zatrzymać.

- Pojedź ze mną. Zapomnij o wszystkim i wiejmy stąd.

- Co? - Cofnęła się. - Pan oszalał? Nawet pan nie wie, jak się nazywam.

- Pani też nie wie, jak ja się nazywam. Mamy więc remis. - Zmniejszył dzielącą ich odległość. - Wyprowadzę samochód z garażu i pojedziemy na homary do Montauk i...

- To aż trzy godziny jazdy!

Nie powiedziała nie. Potraktował to jak zachętę.

- Dziś jest sobota. Znam miejsce, które jest otwarte do jedenastej wieczorem. Mają tam najlepsze homary, jakie kiedykolwiek pani jadła.

- Lepsze niż a la Maine?

- Zdecydowanie. - Znów poczuł wibracje komórki i znowu je zignorował.

- Brzmi wspaniale, ale...

- Raczej zakrawa na szaleństwo, ale trochę szaleństwa czasami nie zawadzi. Bywa, że szaleństwo jest tym, czego potrzebujemy.

- Nie mogę.

Spojrzał na jej pozbawioną obrączki lewą dłoń.

- Jest pani mężatką?

- Nie.

- Czy jest ktoś inny?

- Nie, nie ma nikogo innego. Pana też nie ma. To jest...

- Szaleństwo. To już uzgodniliśmy. Ale coś się jednak tutaj wydarzyło i chciałbym, żeby podała mi pani jeden racjonalny powód, dla którego nie mielibyśmy się przekonać, dokąd to nas zaprowadzi.

- Od czego mam zacząć? Od moich dzieci? Od mojej najlepszej przyjaciółki? - Odgarnęła włosy z czoła. - Od tego, że jest pan całkowicie obcym człowiekiem?

- Szczegóły możemy ustalić w drodze do Montauk. Nie zastanawiaj się, Ruda, tylko zwyczajnie powiedz tak. - Kusilo ją.

Widział to po jej oczach. Jeszcze minuta, jeszcze trzydzieści sekund i może...

- Co ty sobie, do jasnej cholery, wyobrażasz? - Oboje aż podskoczyli na ten ryk. - Jeszcze chwila, a zamkną drzwi.

Clive stał po drugiej stronie chodnika i widać było gołym okiem, że jest wściekły. Ale Jack dostrzegł coś jeszcze. Clive był bledszy niż zwykle i nawet z tej odległości łatwo było zauważyć, że jego czoło błyszczy od potu.

- Czy ten człowiek zwracał się do pana? - zapytała bogini.

- To Clive Bannister - odpowiedział Jack. - Mój menadżer.

- Zdaje się, że zmierza tutaj.

Choć Clive był spadkobiercą tysiącletniej tradycji brytyjskiego drylu, to jednak widać było wyraźnie, że nie czuje się dobrze.

- Poza wszystkim, Jack, dałeś mi słowo. Zostało tylko dziewięć minut.

- Dziewięć minut - powtórzyła bogini, kiedy Clive podszedł bliżej. - Przykro mi, ale na mnie już czas..

- Nie! - Jack wyciągnął po nią rękę. - Pani nie może...

- Posłuchaj, co ona mówi - odezwał się Clive, patrząc na Jacka, a potem zerkając na boginię. - To się nazywa odpowiedzialny człowiek.

Niestety, Jack też do takich należał. Przeniósł wzrok z przyjaciela na bosonogą boginię i już wiedział, że chwila magii pryska.

- To nie koniec - zaznaczył, dotykając jej nadgarstka. - Ma pani u mnie homary.

- Trzymam pana za słowo - odpowiedziała, po czym pobiegła do wejścia dla personelu.

- Kto to? - zapytał Clive, patrząc, jak nieznajoma znika w pałacu.

- Nie wiem - odpowiedział Jack - ale się dowiem.

A kiedy to zrobi, ożeni się z nią.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Julia Monahan, ta sama kobieta, która kiedyś przez dwa miesiące rozważała dylemat, czy na próbę zanieść rzeczy do nowo otworzonej pralni, była bliska powiedzenia „tak”.

No, może niezupełnie „tak”, ale mocno zaakcentowanego „być może”.

Już samo to, że w ogóle rozważała możliwość udania się gdziekolwiek z obcym mężczyzną, kazało się zastanowić, czy ekstremalny makijaż, jaki zaaplikowała jej Bonnie, nie przemodelował całkowicie jej osobowości. Czy wydłużenie włosów może mieć wpływ na fale mózgowe? Najwyraźniej coś się zmieniło, ponieważ zwykła Julia, ta w dresach i T-shircie, z praktycznym kucykiem, nigdy nie wracałaby myślami do tak szalonego pomysłu, jakim była eskapada do Montauk w celu degustacji homarów.

A gdyby nie pojawił się ten rozgniewany Anglik? Czy sprzeniewierzyłaby się swojej naturze i zrobiłaby coś tak totalnie szalonego, tak kuszącego, że na samą myśl robiło jej się gorąco?

Odpowiedź brzmiała: „tak”.

Głośne, entuzjastyczne, kompletnie nieoczekiwane „tak!”.

Przed całkowitą utratą zdrowego rozsądku i ucieczką do Montauk z kompletnie obcym facetem powstrzymała ją wyłącznie świadomość, że jest matką dwójki małych dzieci, które czekają na nią w domu.

Przerażająca konstatacja dla kobiety, która szczyła się zmysłem praktycznym i trzeźwym spojrzeniem na świat. Wystarczyło przebranie i te beznadziejne pantofle, żeby pojawiła się całkiem inna Julia, szalona kobieta gotowa uciec z mężczyzną, którego nawet nie znała z nazwiska.

Bonnie nigdy w to nie uwierzy, a niemożność przypomnienia sobie nazwiska znanej osoby wyda jej się ze wszech miar podejrzana. Jak się do niego zwrócił ten podenerwowany Brytyjczyka Jack. Tak, na pewno. A dalej?

Kiedy weszła do środka, a ochroniarz zaryglował drzwi, znalazła się w wąskim korytarzu z innymi klakierami. Koordynatorka sprawdziła identyfikatory, po czym wszystkich ponumerowała.

- Czterdziestka trójka, włóż te pantofle - napomniała Julię. - To jest prawdziwa gala, a nie rozdanie nagród Grammy.

Pięcioro klakierów, trzech mężczyzn i dwie kobiety, usłyszało, że nie będą potrzebni. Poszkodowani zaczęli się awanturować:

„Przyszliśmy, więc należą się nam pieniądze!”, po czym grupa została wyprowadzona za drzwi.

Korzystając z zamieszania, Julia usunęła się na bok, otworzyła komórkę i wystukała wiadomość do Bonnie:

Spotkałam głos żaby z „Gryzaczków” - jak się nazywał- Jack i co dalej?

- Nie używamy komórek - warknęła koordynatorka. - Nie chcemy durnych melodyjek jak „Waltzing Matilda” w czasie, kiedy DeNiro składa podziękowania.

Julia wyłączyła aparat.

Może alfabet ożywi jej pamięć.

Jack Abbott.

Gdzie tam. Gra w operach mydlanych. Jack Black. Nie za bardzo.

- Czterdziestka trójka, wchodzisz. - Koordynatorka wyrosła obok Julii. - Niewykorzystana rezerwacja, miejsce D-110.

- Sprytne zagranie z tym Versace, czterdziesta trzecia. - Smukła kobieta w czarnej aksamitnej sukni zatrzasnęła zamek torebki w kształcie motyla projektu Judith Leiber. - Tak odstawiona musiałaś załapać pierwsze zastępstwo. Jesteś ustawiona na cały wieczór.

- Co to znaczy „ustawiona na cały wieczór” ?

- Ktoś sławny dostał kosza i teraz ty będziesz jego partnerką. Zdobyłaś czas na ekranie i własnego klakiera. Ale masz farta.

Koordynatorka skierowała Julię do wyjścia, gdzie czekał na nią młodzian ze wściekłym irokezem, który poprowadził ją wąskimi korytarzykami. Po chwili następna kobieta uważnie zlustrowała Julię, zatrzymując wzrok na butach.

- Czy to są Blahniki z loterii dobroczynnej Związku Aktorowi Szczęściara. - Jak widać, pantofle były tak sławne jak połowa gości w sali. - Zdejmij te okulary. Za bardzo rzucają się w oczy.

- Przepraszam-powiedziała Julia, upychając je w torebce razem z komórką i grzebieniem.

- Jeśli musisz skorzystać z toalety, to bardzo przykro mi, ale jest już za późno. Nie zapominaj, że to nie jest bar dla singli. I pamiętaj, że nawet jeśli ktoś wrzaśnie, że się pali, ty siedzisz na swoim miejscu aż do odwołania.

Julia, która w razie pożaru zamierzała jako pierwsza rzucić się do wyjścia, uroczyście skinęła głową.

- Sektor D, wprowadzić - powiedziała kobieta do mikrofonu i już po sekundzie otworzyły się drzwi, w których pojawiła się drobna piegowata dziewczyna w czarnym uniformie. - Sto dziesięć, pędem.

- Tędy! - Hostessa szybkim krokiem poprowadziła Julię, która ani się spostrzegła, kiedy na chwiejących się nogach sunęła środkiem wąskiego przejścia między rzędami głównej sali. Julię ogarnęło radosne podniecenie. Wiedziała, że on tu jest. Nie wiedziała dokładnie gdzie, ale był tu na pewno.

W górze jarzyły się żyrandole, powietrze było chłodne i rześkie jak kieliszek szampana i równie odurzające. Dźwięki orkiestry strojącej instrumenty podnosiły tylko temperaturę atmosfery oczekiwania.

Nawet bez okularów zidentyfikowała kilka twarzy. Zgoda, z nazwiskami było gorzej, ale na pewno rozpoznawała ich głosy.

Nie słyszała tylko tego jednego i była... rozczarowana. A może jednak olał ceremonię i właśnie pędzi do Montauk? Wyobraziła sobie, jak mija Patchogue i Moriches, sosnowe lasy, farmy i zajazdy czynne przez całą dobę i zmierza na czubek Long Island na homary, którymi chciał ją uraczyć.

Próbowała sobie wyobrazić, jak czuje się wolny i podejmujący spontaniczne decyzje człowiek, ale na próżno. Spontaniczność i rodzic singel nie idą w parze. Dzieci potrzebują stabilizacji, wymagają rutynowych czynności. Muszą wiedzieć, że mogą liczyć na ciebie w

każdej chwili. A to oznacza, że z homarami o północy trzeba poczekać dziesięć albo piętnaście lat.

Gdyby jednak Jack zaprosił ją ponownie, kiedy dzieci skończą uczelnię, wtedy pokazałaby, co potrafi.

Że też można przeżywać stratę czegoś, czego nigdy się nie miało! Serce jej krwawiło tak bardzo, jak gdyby byli odwiecznymi kochankami, którzy postanowili, że czas się rozstać. Nie do wiary! Nie znają się prawie, nie wiedzą, jak które z nich się nazywa, nie trzymali się za ręce, nie całowali się ani nie...

Lepiej na tym poprzestać. Miała bujną wyobraźnię, a miejsce, w którym się znajdowała, nie było odpowiednie, by dawać upust tego rodzaju fantazji, choć widziała się u jego boku do końca życia.

Hostessa zatrzymała się cztery rzędy przed sceną.

- Drugi fotel - szepnęła.

- Dziękuję.

Elegancki siwy mężczyzna w pierwszym fotelu skłonił się w stronę Julii, po czym podniósł się z miejsca, żeby ułatwić jej przejście. Nie wyglądał na nikogo znanego, chociaż biorąc pod uwagę ostatni popis Julii, o niczym to jeszcze nie świadczyło.

Parę chwil zajęło jej zebranie trenu w sposób, którego nauczyła się od Bonnie, i usadowienie się w fotelu. W trakcie tych manewrów wyczuła zniecierpliwienie pozornie uprzejmego mężczyzny.

Orkiestra skończyła rozgrzewkę, a ostatnie dźwięki instrumentów smyczkowych stopiły się z przytłumionym gwarem rozmów.

- Pani suknia - powiedział mężczyzna obok niej, więc odwróciła się w jego stronę.

- Tak? - uśmiechnęła się promiennie. Czy może mu się nie podobać jej sukienka?

- Zawadza mi. - Pokazał gdzieś w okolice swoich stóp, przesłoniętych metrami błyszczącego atłasu.

Spróbowała zgarnąć przeszkadzającą część garderoby, która jednak po chwili znów się wymknęła.

- Ciekawe, zupełnie, jakby żyła własnym życiem - ośmieliła się zauważyć.

Łagodnie powiedziane. Ilość materiału użytego na tren wystarczyłaby na obicie dwóch kanap i jeszcze zostałyby na narzutę na łóżko, a wszystko to razem wylewało się poza wąski fotel.

Zgasły światła.

- To się staje uciążliwe - oznajmił siedzący obok siwy mężczyzna. - Mam nadzieję, że nie będzie pani walczyć z tym strojem, kiedy kamery zostaną wymierzone w nas.

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale ktoś inny zrobił to za nią.

- Nie ma sprawy. Wezmę to miejsce z podziękowaniem. - Zadrżała na dźwięk jego głosu. Odtąd już zawsze, ilekroć na ekranie pojawi się Phinneas P. Phrog w „Gryzaczkach”, będzie musiała brać zimny prysznic.

Siwy mężczyzna zniknął w przejściu, a anonimowy gwiazdor filmowy, którego położyła plackiem na Park Avenue, zajął jego miejsce. Serce Julii waliło tak mocno, że nie mogła złapać oddechu.

I nagle w jej głowie odezwał się dzwoneczek.

- Jack Wyatt! - oznajmiła triumfalnie.

- A więc wreszcie doszła pani do końca alfabetu. - Posłał jej jeden z tych uśmiechów, który mógłby opromienić świat.

Odwzajemniła uśmiech.

- Nawet nie doszłam do Nicholsona.

- Czuję się zaszczycony. - Zmienił pozycję i przez ułamek sekundy jego lewe biodro przycisnęło się do niej.

- A ja jestem zdumiona. - W jednej chwili znika z pola widzenia, żeby w następnej znaleźć się przy niej, tak blisko, że czuła zapach jego skóry i ciepło jego ciała. - Jakie były szanse na to, żeby mnie posadzono obok pana?

- Och, ogromne, zważywszy na fakt, że sam się tego domagałem.

O Boże! Czuła niemal, jak miękną jej kości niczym śmietankowe masło w letni dzień. Można by pomyśleć, że oboje korzystają z tego samego scenopisu. Żaden scenarzysta lepiej by tego epizodu nie wymyślił.

- Jak pan mógł się domagać, skoro nawet pan nie wie, jak się nazywam?

- Na szczęście w budynku znajdowała się tylko jedna wysoka seksowna bosonoga ruda.

Czy można spłonąć żywcem w klimatyzowanym pomieszczeniu? Dziwne, że z czubków jej palców nie wystrzeliły jeszcze płomienie.

Tymczasem on robił wrażenie kogoś, kto dobrze czuje się we własnej skórze. Tutaj, w tej naenergetyzowanej sali, był taki sam jak wtedy, kiedy go powaliła. Nie tylko dopytywał się o nią, ale naprawdę się cieszył, że siedzi koło niej.

Coś się chyba za tym kryje. Nigdy wcześniej nie doświadczyła czegoś podobnego. Przejście między przyjaźnią a miłością z Dennyem odbyło się powoli i tak naturalnie, jak przemiana dziewczyny w kobietę. Bez spektakularnych gestów, bez fajerwerków.

Teraz nie bardzo wiedziała, co się z nią dzieje. Tym razem były fajerwerki, które trafiały prosto do serca, były skrzące się rakiety i spadające gwiazdy na nocnym niebie.

On jest aktorem, podszeptął jej cienki głosik. Zarabia wcielaniem się w dowolne postacie, robi to na zawołanie. Spokojnie więc, musi trochę wyhamować. Ale za daleko już zaszła. Kolory wydały się żywsze. Muzyka słodsza. Chłodne powietrze muskające rozgrzaną skórę intensywniejsze.

Pewnie istniało jakieś słowo na wyrażenie tego, co czuła. Szaleństwo. Niebezpieczeństwo. Zaślepienie.

To tylko tak na początek. Będzie potrzebowała słownika i tezaurusa, żeby choćby zacząć opisywać to doznanie.

Można by jeszcze dodać erotyczne podniecenie, ale to nie wszystko, chodziło o coś znacznie głębszego i bardziej wszechogarniającego, o poczucie, że było jej to sądzone, bo takie są wyroki niebios.

Kiedy zmieniła pozycję, jej suknia wypełniła całą wolną przestrzeń między nimi.

- Czy właśnie na to narzekał nasz siwowłosy przyjaciel?
- Musi pan przyznać, że wlokę za sobą potworną ilość materiału.
- Próbowала wygładzić suknię
- Mnie to nie przeszkadza.
- Niech pan nie mówi „hop”, bo za chwilę zepchnie pana prosto na...

Nie pozwolił dokończyć jej zdania. Zamiast tego naturalnym gestem sięgnął po jej rękę, a ją aż zatkało z wrażenia.

Nagle zrozumiała, dlaczego ludzie wyskakują z samolotów i skaczą na bungee ze szczytów gór. Dlaczego ryzykują wszystko dla szalonego emocjonującego spadania bez zabezpieczającej siatki, dla tej jednej krótkiej chwili, kiedy następuje całkowite spełnienie i kiedy słyszy się melodyjny szum krwi w żyłach.

Chwili, w której kobieta wie, że jej życie już nigdy nie będzie takie same.

Tak czy owak była zakochana.

Jack nie zamierzał brać jej za rękę, ale już nie było odwrotu. Nie teraz, kiedy spoglądała na niego w taki sposób - z szeroko otwartymi ze zdumienia orzechowymi oczami i wyglądała tak słodko i tak szczerze, że świat przestał obracać się wokół własnej osi, a on czuł, że leci i pada drugi raz tego wieczoru.

Światła w sali zamigotały, po czym przygasły, kiedy splótł z nią palce. Musiał się zakotwiczyć w czasie i w przestrzeni. Potrzebował dowodu, że to naprawdę się dzieje. Wyczuł jej wahanie, moment, w którym mogła się wycofać, ale tego nie zrobiła. Jej dłoń była ciepła, a palce szczupłe i długie z krótkimi, praktycznie przyciętymi

paznokciami, tak kłóćącymi się z seksowną suknią... Miał też świadomość, że ten prosty gest jest bardziej erotyczny i intymny, niż którekolwiek z nich mogło sobie wyobrazić.

Orkiestra zaintonowała porywający kawałek na wejście. Ostre białe światło reflektora oświetliło środek sceny, kiedy pojawił się na niej burmistrz Nowego Jorku przy szalonym aplauzie publiczności.

- Witam na ceremonii wręczenia nagród na Nowojorskim Festiwalu Filmowym, transmitowanym na żywo z Pałacu Festiwalowego w samym centrum Manhattanu.

Jack z trudem koncentrował się na słowach, ponieważ w tym czasie chłonał podniecający zapach perfum siedzącej obok kobiety i napawał wzrok jej cudownymi rudymi włosami.

Kiedy w sali zrobiło się nieco jaśniej, reporterzy i kamerzyści rozbiegli się po widowni. Harrison Ford mówił coś do mikrofonu, ale dla Jacka mógł z równym skutkiem przemawiać po grecku. Nie liczyło się nic, poza tym, czego doznawał, trzymając boginię za rękę.

- Och, nie- szepnęła.-Właśnie pękł mi pasek. Dopiero po chwili dotarło do niego, że chodzi o pantofle.

- Proszę je zdjąć.

- Bez butów nie ma kasy.

- To obowiązywało wtedy, kiedy robiła pani za klakierkę.

- Nadal jestem klakierką.

- Nie. Już nie. Jest pani ze mną.

Ich oczy się spotkały i dotąd nie zdawali sobie sprawy, że kamera wycelowana jest prosto na nich, dopóki obok nie rozległ się śmiech. Kiedy podnieśli wzrok, zobaczyli siebie w powiększeniu na

gigantycznym ekranie. Kamera przesunęła się z jego twarzy na jej, po czym zrobiła najazd na ich ręce.

- Zechciałbyś nam coś powiedzieć, Jack?

- Uśmiechnięta blond reporterka podsunęła mu mikrofon.

- Nie dzisiaj. - Stonował ostrość słów najbardziej promiennym uśmiechem, który niejedną reporterkę zbiłby z pantałyku.

- A pani? - Pochyliła mikrofon w stronę bogini, która wyraźnie się cofnęła. - Proszę chociaż powiedzieć, jak się pani nazywa.

Dłoń bogini w ręku Jacka zrobiła się lodowato zimna, kiedy reporterka czekała na jakieś słowo, cokolwiek, co wypełniłoby czas programu, który leciał na żywo. Pierwsze spotkanie ze światłem kamery może być stresujące, a widok spłoszonej jak sarna partnerki obudził w Jacku uśpiony od dawna instynkt obronny.

- Nie dzisiaj - powiedział bez zająknienia.

- Dzisiejszy wieczór jest poświęcony Nowojorskiemu Festiwalowi Filmowemu.

Reporterka rzuciła mu złowrogie spojrzenie, po czym zwróciła się do kamery.

- Wrócimy na wizję po przerwie, po której nastąpi przyznanie nagrody za najlepszą drugoplanową rolę. A teraz czas na wiadomości od naszego sponsora. - Czekwała twardo w miejscu z wystudiowanym uśmiechem do pojawienia się reklam. - Najuprzejmiej dziękuję - warknęła, dodatkowo piorunując wzrokiem boginię. - Na pewno nie puszczę tego w moich migawkach z Emmy. - Ruszyła na poszukiwanie lepszego kąska.

Pewnie nie powinni byli tego robić, ale nie mogli się powstrzymać. Bogini popatrzyła na niego, on na nią i wybuchnęli niepohamowanym śmiechem. Nie pamiętał, kiedy ostatnio śmiał się do rozpuku z kobietą i czuł się tak swobodnie.

- Mam wobec pana ogromny dług wdzięczności - powiedziała, wycierając łzy. - Kiedy podsunęła mi mikrofon, naprawdę zapomniałam, jak się nazywam.

- Pierwszy raz jest najtrudniejszy. Potem idzie jak z płatką.

- Trudno uwierzyć, że można się do tego przyzwycząić.

- Okej - zaśmiał się ponownie - ale naprawdę da się to oswoić.

Kiedy światła przygasły, bogini przysunęła się bliżej. Jej pierś musnęła jego prawy biceps, a Jack nagle przestał czuć się aż tak bardzo swobodnie.

- A tak na marginesie - szepnęła, gdy rozbrzmiała muzyka - to nazywam się Julia.

Julia Wyatt.

Szeptali sobie do ucha, śmiali się, trzymali za ręce, a wszystko to z powodu spuchniętego policzka Bonnie, obłądnego korka na Park Avenue i limuzyny z zabójczymi drzwiami.

Może dlatego ludzie lubią bajki. Może dlatego historia Kopciuszka jest wiecznie żywa wśród ludzi wielu różnych kultur. Czasami kobiecie potrzebna jest wiara w magię, nawet jeśli wie, że nie trwa ona wiecznie.

- Niedługo pańska kolej, panie Wyatt - oznajmiła hostessa, która zjawiała się w towarzystwie wysokiego blondyna.

Jack zamrugał jak ktoś budzący się z długiej drzemki, po czym zwrócił się do Julii:

- Przedstawiam zwycięzcę nagrody za całokształt twórczości - wyjaśnił - ale to nie potrwa długo.

Żadne z nich nie chciało pierwsze się rozstać. Wreszcie Julia wysunęła dłoń z jego ręki.

- Idź - powiedziała, a on przesłał jej takie spojrzenia, od którego zrobiło się jej gorąco od stóp do głów.

Blondyn, który okazał się klakierem, skinął jej głową, a następnie spojrzał w dół na kłębiący się dookoła tren.

- Nie chciałbym na nic nadepnąć. - Zaczekał, aż Julia pozbiera metry atlasu.

Próbowała skoncentrować się na paradzie sław przewijających się na scenie, ale kiedy padły słowa „...bożyszczce numer jeden amerykańskiego kina akcji, Jack Wyatt!”, a na sali

rozległy się dzikie brawa, okrzyki i gwizdy, przestała się interesować czymkolwiek innym, skupiając całą uwagę na Jacku.

Sama jego obecność hipnotyzowała. Nie podnosił głosu. Nie robił sztuczek akrobatycznych ani nie zabierał się do śpiewania czy tańczenia, wystarczyło, że był i stał. Nie można było oderwać od niego wzroku.

Jego przemówienie było ciepłe i dowcipne. Zrećźnie ominął zbędny sentymentalizm, odwołując się do emocji. Natomiast zwycięzca nagrody, światowej klasy reżyser, znany jej z nazwiska, rozwodził się i mówił bez końca, aż Julii trudno było usiedzieć w miejscu. W końcu zwróciła się do sąsiada:

- Jak długo kazali panu tu zostać? - zapytała. Twarz klakiera nawet nie drgnęła. Nie odpowiedział jej.

- Wiem, że zabronili panu rozmawiać z kimkolwiek, ale ja też jestem klakierką. Mnie może pan powiedzieć.

- Do końca wieczoru.

- Do końca wieczoru? To niemożliwe!

- Przykro mi, ale jeszcze dużo będzie się działo. Też wolałbym siedzieć koło Penelopy Cruz, ale takie są minusy naszej pracy.

Julia przekonywała samą siebie, że jej sąsiad się myli i że Jack wróci zaraz po swoim występie, tymczasem już pojawiły się spoty reklamowe i leciały na okrągło. Okej. Różnie może być. Była w stanie wyobrazić go sobie za kulisami, otoczonego tłumem reporterów i fotografów. Pewnie pozuje do zdjęć, udziela wywiadów, robi to wszystko, czego się oczekuje od sławnej osoby na takich imprezach. Jak tylko będzie mógł, wróci.

Tyle że tak się nie stało.

Odbyły się jeszcze trzy prezentacje i zbliżała się ostatnia, a jego wciąż nie było widać. Powtarzała sobie, że to nie ma nic wspólnego z jej osobą, że taki jest jego zawód, że podjął zobowiązanie, zanim się poznali, ale to nie pomagało.

Nie jesteś smarkulą, przekonywała samą siebie, ale to też nie pomogło. Równie mocno bolało jak wówczas, kiedy miała siedemnaście lat.

Kiedy ostatni nagrodzony wygłosił swoje przemówienie, wszyscy prezenterzy i zdobywcy nagród wylegli starym zwyczajem na scenę, wywołani przed kurtynę przy dzikim aplauzie publiczności.

Brakowało tylko Jacka Wyatta.

Julia nie wiedziała, co o tym sądzić. Może szykował się do jakiegoś specjalnego, obliczonego na efekt wejścia w hollywoodzkim stylu. A może próbował wrócić na swoje miejsce i został zatrzymany do czasu zakończenia spotów reklamowych.

A może na dobre się stąd wyniósł.

Jeśli to, co się nazywa fascynacją, przeżywa się w taki sposób, powinna się tylko cieszyć, że ominęło ją podobne doświadczenie z Dannym, który tak szybko poprosił ją o rękę. Jeśli się wlatuje tak wysoko jak ona w ciągu ostatnich godzin, to spadanie może być długie i bolesne.

Widowisko dobiegło końca i publiczność zaczęła wychodzić z sali. Julia nie była w stanie się podnieść. Stopniowo, kiedy śmietanka towarzyska przechodziła koło niej, udając się w pośpiechu na kolejną atrakcję, Julia poczuła się jak wytwornie ubrana porzucona na drodze ofiara wypadku drogowego. A jedna elegancka gwiazdeczka nie tylko nadepnęła na tren jej sukni, ale jeszcze kopnęła pantofelki Bonnie, które wpadły pod siedzenie w sąsiednim rzędzie.

Trzeba przyznać, że jak na tak nieprzebrany tłum, ludzie uwijali się szybko, a w pewnym momencie Julia została dosłownie wypchnięta do przejścia przez czteroosobową grupę kasowych gigantów. Ledwie zdążyła porwać jeden pantofelek, który wcześniej odnalazła, gdy nagle została wysadzona z fotela. Może jakieś branżowe pismo będzie zainteresowane artykułem, który zatytułowałyby: „Co robić, żeby zachować się po ludzku?”.

- Moje buty - powiedziała, próbując przepchnąć się z powrotem do swojego rzędu. - Muszę znaleźć drugi pantofel.

Drogę zastąpił jej męski odpowiednik hostessy.

- Bardzo mi przykro, ale musi pani opuścić salę. - Mundury potrafią nieźle namieszać ludziom w głowie. Można by pomyśleć, że facet strzeże dostępu do Fort Knox.

- Chcę tylko wrócić i wziąć swój pantofel.

- Niestety, ale nie mogę się zgodzić. - Popatrzył na nią surowo. - Takie są przepisy bezpieczeństwa.

- Pan chyba mnie nie rozumie. - Na jej skroniach pojawiły się kropelki potu. - To pantofle mojej przyjaciółki i są bardzo drogie. Bez nich nie mogę stąd wyjść.

- Wszystko wskazuje na to, że będzie pani musiała. - Nieprzejednany hostess na pewno kupuje buty w tanim magazynie Payless, podobnie jak ona. - W holu znajdzie pani okienko, gdzie może pani zgłosić zgubę. Wypełni pani formularz, a oni zobaczą, co da się zrobić.

- Ale on jest tutaj. - Wskazała pierwszy rząd. - Parę metrów stąd. To potrwa tylko chwilę.

Mężczyzna zaparł się, tabun znanych twarzy przepychał się obok, a niektórzy mamrotali coś na temat samolubnych kobiet, które nawet nie potrafią upilnować własnych butów. Julia bała się, że ze zdenerwowania zaraz zacznie krzyczeć, czym pograży się do reszty.

W holu roило się od sław, reporterów i fotografów. Dzwoniły komórki, strzelały lampy błyskowe. Poziom decybeli emitowanych podczas rozmów wprost ogłuszał. Tłum był tak gęsty, że Julia

torowała sobie drogę łokciami do okienka, w którym zajmowano się zgubionymi i znalezionymi rzeczami.

- W czym mogę pomóc ? - zapytała młoda kobieta, podnosząc wzrok na Julię, która położyła ładzie wspaniałą pantofel Bonnie.

- Szukam drugiego takiego. Urzędniczka wybałuszyła oczy na widok arcydzieła Manola Blahnika.

- Och! - wyszeptała i z nabożnym szacunkiem dotknęła paseczka. - Czy mogłabym...?

- Oczywiście - wyraziła zgodę Julia, orientując się w mig, że nie znajdzie tu drugiego pantofla, bo gdyby był, znajdowałby się na prawej stopie dziewczyny.

- Jeszcze kiedyś będę miała pełną szafę takich pantofli - rozmarzyła się dziewczyna. - Próbowalam kupić buty Jimmy'ego Choosa przez e-Bay, ale...

- Prawda, że to nie to samo? Dziewczyna schyliła się i zdjęła z lewej stopy pantofel, który odstawiła na ladę.

- Przepraszam, ale nie mogłam się oprzeć. - Podsunęła Julii formularz i długopis. - Proszę to wypełnić, zadzwonimy, gdy tylko się pojawi.

Po wpisaniu danych Julia postanowiła zaryzykować i znów wbiła się w tłum. Bonnie oszalałaby ze szczęścia na widok tyłu znakomitości, lecz dla niej istniała tylko jedna twarz, którą chciała zobaczyć, jeden głos, który pragnęła usłyszeć, ale akurat tego jednego nie było.

W końcu znalazła miejsce na uboczu, gdzie oparła się o filar i skąd obserwowała to całe zamieszanie, podskakując za każdym

razem, ilekroć otwierały się drzwi. Prędzej jednak ujrzy u swego boku Świętego Mikołaj a niż Jacka Wyatta!

Choć długo nie traciła nadziei, w końcu doszła do wniosku, że to, co się wydarzyło - a wiedziała z całą pewnością, że iskrzenie między nimi było jak najbardziej autentyczne - miało przelotny charakter. Fascynacja, flirt to naturalny porządek rzeczy, tylko tak się złożyło, że jej flirt okazał się rekordowo krótki.

Włączyła komórkę, na której wyświetliła się wiadomość od Rachel:

25:15 Bo pożalujesz!!!

Potem następna od Bonnie:

Daniel zjadł mydło & odchodzę od zmysłów!!!

Cóż, fajnie było pochodzić w pantofelkach Kopciuszka, ale pora wracać do domu, gdzie czekają na nią piękne dzieci, które będą ją kochać długo po tym, jak jej wspaniała, złocista karetka znów przeistoczy się w dynię.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Nawijaj - powiedziała Bonnie, kiedy Julia przebrała się w nieśmiertelne dzinsy plus T-shirt i trochę po północy dołączyła do przyjaciółki, zasiadając przy kuchennym stole. Sięgnęła do lodówki po pojemnik czekoladowo-kawowego przysmaku i chwyciła łyżkę.

- Mogłabyś uściślić, o co ci chodzi?

- O ciebie i o Jacka Wyatta, ot co. Najpierw posyłasz mi tekst, w którym pytasz o „Gryzaczki”, potem ja siedzę tutaj i wydłubuję resztki spaghetti spomiędzy poduszek na sofie, gdy moi chrześniacy wymyślają sposoby na zadreczenie mnie na śmierć, a kiedy wreszcie podnoszę wzrok, widzę ciebie na ekranie, jak trzymasz się za ręce z jedynym prawdziwym hollywoodzkim macho. - Bonny wrzuciła do ust garść drażetek M&M. - Domyślałam się, że przypomniałaś sobie jego nazwisko.

- I to bez twojej pomocy, pozwolę sobie zauważyć.

- Nie wymiguj się, Monahan. Zgubiłaś moje pantofle i choćby z tego powodu coś mi się należy.

- Nie zgubiłam twoich pantofli. - Julia zanurzyła łyżkę w pojemniku ze słodkim jak ulepek przysmakiem. - Zgubiłam tylko jeden.

- Powiesz jeszcze słowo o butach, a zjem zamrożone ciasteczka posypane czekoladą, które schowałaś za mrożonką Lean Cuisines.

Julia przewróciła oczami.

- Myślałam, że nie będziesz węszyć.

- Rozglądałam się za owocowymi batonikami dla dzieci.
- Uważaj, bo ci uwierzę.
- Nie odpuszczę ci, więc lepiej nie zwlekaj i opowiedz wszystko od razu. Jestem klakierką od sześciu lat i nikt nigdy nie wypowiedział do mnie ani słowa, a tymczasem ty idziesz tam po raz pierwszy i migdalisz się z gwiazdą z najwyższej półki.

- Faj, nie znoszę tego określenia.
- Chodzi o migdalenie ?
- Tak, zwłaszcza że nic takiego nie miało miejsca.
- A co to było, kochanie? - Bonnie przyszpiliła Julię wzrokiem. - Za długo się znamy, żebym się dała nabrać, poza tym wyglądasz jakoś inaczej.

To wystarczyło, żeby cała historia popłynęła wartkim strumieniem. Julia opowiedziała wszystko ze szczegółami, od powalenia Jacka drzwiami limuzyny po powrót na Brooklyn.

- Gdybyś mnie zapytała rano, czy wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia, odpowiedziałabym, że coś takiego nie istnieje, ale byłabym w błędzie. - Julia zawsze uważała, że miłość rozwija się i dojrzewa w miarę upływu czasu, powstaje z przyjaźni, która powoli przeradza się w coś, co może trwać wiecznie. Natomiast gwałtowny wybuch uczucia nie ma szansy, by przetrwać.

- Poprosił cię o numer telefonu?
- Nie, ale...
- Dał ci cokolwiek, żebyś mogła się z nim skontaktować ?
- Nie prosiłam go o nic.

- Mhm... Mówię to z przykrością, ale zostałam wykorzystana do sesji zdjęciowej. Posłużyłaś mu za maskotkę, za coś, na czym mógł zawiesić wzrok, żeby się nie nudzić.

- Nie! - z mocą rzekła Julia. - Nic podobnego.

- Nie chciałabym cię ranić, kochanie, ale ponieważ już od dawna nie uczestniczysz w grze, pewnie zapomniałaś, jak to wygląda z drugiej strony.

- Nigdy nie uczestniczyłam w żadnej grze! Miłość nie jest grą. Bonnie z jękiem ukryła twarz w dłoniach.

- Nic nie słyszałam - oznajmiła. - I powiedz, proszę, że nic takiego nie powiedziałaś.

- Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale nigdy jeszcze tak się nie czułam. - Ciągnęło ich do siebie nieprzytomnie... jak pszczoły do miodu. Jego dotyk przyprawiał ją o dreszczyk, ale dopiero kiedy bez troski się śmiali, poczuła, że mięknie na dobre.

Bonnie powoli opuściła ręce i spojrzała na Julię.

- Wiem, że nie powinnam cię zachęcać, ale muszę przyznać, że jeszcze nigdy nie widziałam cię w takim stanie.

- Omal z nim nie uciekłam. - Julia sięgnęła do zamrażalnika po następny pojemnik, tym razem z lodami. - Chciał, żebym z nim pojechała do Montauk, i przysięgam, że gdyby nie dzieci, zrobiłabym to.

Łyżeczka Bonnie upadła z łośkotem na podłogę.

- Zapytał, czy byś nie pojechała z nim do Montauk?

- Na homary o północy.

- To naprawdę niesprawiedliwe - oznajmiła Bonnie. - Jedyny raz, kiedy nie mogę uczestniczyć w przedstawieniu, ty jesteś nagabywana przez Najbardziej Pożądanego Mężczyznę na świecie.

- Nie byłam nagabywana!

- Ale też nie była to propozycja małżeństwa.

- To było zaproszenie.

- Do rozebrania się do rosołu.

- Tak, ale dopiero po homarach. Popatrzyły na siebie i wybuchnęły śmiechem,

- Cśś! - ostrzegła Julia, kiedy dopadł ją drugi atak śmiechu. - Nie obudzmy dzieci.

Ale przypadek był beznadziejny, bowiem wzięło je na dobre. Śmiały się, dopóki nie rozboleły ich boki. Julia dwukrotnie musiała kłaść Kate z powrotem do łóżka.

- Życie jest takie niesprawiedliwe - zawyrokowała Bonnie, kiedy wsuwały ananasowe ciasto podrzucone rano przez panią Wasserstein.

- Gdyby poprosił mnie, już byś mnie tu nie widziała. Byłabym przejeżdżona homarami i uśmiechałabym się do Jacka Wyatta z drugiej strony poduszki.

- Tak by postąpiła większość kobiet na tej planecie. Przyznaję, że mnie kusilo.

- Przeczynałam, że wydarzy się coś nadzwyczajnego - z zadumą rzekła Bonnie, podczas gdy Julia postawiła na stole dwa kubki parującej herbaty. - Wygląda na to, że przynoszące szczęście pantofle straciły swoją moc.

- Ależ mnie się naprawdę zdarzyło coś nadzwyczajnego -
oznajmiła Julia z najszerszym uśmiechem, na jaki było ją stać. - Tyle
że nie do końca się sprawdziło.

- Nigdy się nie sprawdza - z westchnieniem orzekła Bonnie.

- Czasami się sprawdza - rozmarzyła się Julia.

Ale nie tym razem.

Jack klepnął kierowcę przywołanej telefonicznie taksówki.

- Może mnie pan tu wysadzić.

Kierowca, który wpatrywał się w niego w lusterku wstecznym
przez całą drogę od Manhattanu, potrząsnął głową.

- Dowiozę pana pod wskazany adres.

- Jest niedzielny poranek, a ten samochód huczy jak 747 na pasie
startowym. Wolę wysiąść na rogu i resztę drogi odbyć pieszo.

Kierowca znacząco wskazał kciukiem na tylne siedzenie.

- Z tym całym majdanem? Nie da pan rady.

- A jednak zaryzykuję.

Pięć minut później stał na chodniku obładowany bajglami, kawą
od Starbucksa, dwoma tuzinami czerwonych róż, wszystkimi
możliwymi nowojorskimi gazetami i mrożoną czekoladą z lodami.
Ponadto z nadgarstka zwisał mu błyszczący, mieniący się pantofel na
niebezpiecznie wysokim obcasie.

Był po ciężkiej nocy, co odbiło się na jego wyglądzie i
pomiętym ubraniu. Wciąż miał na sobie smoking, tyle że bez
marynarki i krawata, koszulę rozpiętą przy kołnierzyku, no i serce na
dłoni.

Skreślił w ulicę, na której mieszkała. Trzy-rodzinne domki z czerwonej cegły ciągnęły się po obu stronach jezdni. Światło poranka popstrzyło cętkami pączki liści. Wielkie krzewy żółtych forsycji pochylały się nad werandami i oddzielały posesje. Okolica była spokojna i cicha na swój niedzielny sposób, jak to pamiętał z dzieciństwa. Jakaś kobieta w różowym szlafroku czekała, aż jej puszysty pies załatwi potrzebę. Spaniel w burberry wydawał się odległy o całe lata świetlne.

Bogini mieszkała tutaj. Julia. Właśnie na tym odcinku, może w połowie drogi między miejscem, gdzie stał, a kobietą w różowym szlafroku. Zabawne, że potrzebował prawie trzydziestu lat, żeby zrozumieć tekst starej piosenki, w której serce zakochanego za każdym razem, ilekroć przechodzi koło domu, gdzie mieszka ukochana, wlatuje pod niebiosa. Właśnie tak się czuł, a świadomość, że Julia jest blisko, czyniła go szczęśliwym.

Czy aby tylko on uszczęśliwi ją swoją osobą?

Magia to ulotna sprawa. Nie miał gwarancji, czy to, co połączyło ich wczoraj, a co mógł śmiało nazwać technieniem przeznaczenia, nie pryśnie w świetle poranka.

W idealnie urządzonej świetlicy przedstawiłby wczoraj zwycięzcę nagrody za całokształt twórczości, skłonił się i powrócił do tego, na czym on i bogini przerwali. Nie tylko chciał się dowiedzieć o niej wszystkiego, ale po raz pierwszy w życiu pragnął podzielić się wszystkim na swój temat. Zacytowałby tekst z filmu „Kiedy Harry poznał Sally”:

Gdy spotykasz osobę, z którą pragniesz spędzić resztę życia, chciałbyś, żeby reszta życia zaczęła się od zaraz.

Wszystkiego mógł się spodziewać, tylko nie tego, że znajdzie się w tylnej części karetki pogotowia pędzącej na północ w kierunku Columbia-Presbyterian Hospital i będzie towarzyszyć jedyemu prawdziwemu ojcu, jakiego kiedykolwiek znał, podłączonemu do kardiomonitorów. Jack nagryzmolił liścik do Julii, poprosił hostesę o doręczenie i błagał los, żeby był dla nich łaskawy jeszcze trochę dłużej.

Czas w szpitalach zdaje się wlec w nieskończoność, jakby siły natury sprzysięły się przeciwko sobie i pozbawiły człowieka naturalnych punktów odniesienia, dzięki którym zwykle omija rafy i wychodzi na prostą. Linda i Mike pokonali w półtorej godziny dwugodzinną trasę z Southold i przybyli, zanim lekarze wykonali Clive'owi koronografię.

Rokowania były pomyślne. Lekarzom udało się poszerzyć tętnice, zanim zawał zdążył spowodować trwałe uszkodzenie.

Jack opuścił szpital około piątej nad ranem z uczuciem ogromnej ulgi. Rześki, bezchmurny poranek odczuł jak błogosławieństwo, uznał za dobry znak. Uruchomił komórkę i czekał, aż zapali się ikonka z pocztą głosową, ale nic się nie pojawiło. Julia nie zatelefonowała i dzień już nie wydawał się taki błogosławiony.

Zanim doszedł Broadwayem do numerów poniżej setnego, wiedział już, co należy zrobić. Zatrzymał taksówkę i po kilku minutach wpadł do holu Pałacu Festiwalowego i rozpoczął

dochodzenie, które doprowadziło go przed okienko z rzeczami zagubionymi i znalezionymi.

O ironio!

- W pani moja ostatnia nadzieja - zwrócił się do młodej kobiety.
- Podczas wczorajszej ceremonii poznałem pewną kobietę i usiłuję się dowiedzieć, czy nie zostawiła gdzieś wiadomości dla mnie. - To śmieszne. Totalne wariactwo. Akt zdesperowanego człowieka. Może ona wcale nie chce dzwonić do niego. Może nigdy nie otrzymała jego wiadomości.

- Nie, nie zwrócono żadnych notatek - oznajmiła młoda kobieta.
- Mam natomiast parę klipsów Chanel, torebkę Prado, jakąś marną peruczkę i jednego cudownego Manola Blahnika.

- Kogo?

- Manola Blahnika. - Kobieta przewróciła oczami. - Niech pan nie mówi, że pan nie wie, co to są Manole. To najcudowniejsze pantofle na świecie.

- Julia - powiedział, a pracownica przestała przewracać oczami, kiedy jej podał dokładny opis pantofla.

- Tak! - Ucieszyła się. - Zna ją pan?

Ponieważ z wrażenia odebrało mu mowę, pokiwał tylko głową.

- Chciałam do niej zadzwonić o przyzwoitej porze i powiedzieć, że znaleźliśmy zgubę, ale skoro już pan tu jest, dlaczego nie miałabym oddać go panu. - Uśmiechnęła się zalotnie. - Dobrze panu patrzy z oczu. Myślę, że mogę panu zaufać.

Podawała mu pantofel. Podawała mu też formularz, który wypełniła Julia Monahan. Dała mu przyszłość.

I w ten sposób amerykański bohater kina akcji numer jeden trafił pod adres 752 Barclay Place w Bay Ridge, dużej gminie Brooklynu, zbierając się na odwagę, żeby pokonać osiem stopni dzielących go od reszty jego życia.

- Kto dzwoni do drzwi o tak niehumanicznej porze? - Bonnie ledwie ukryła ziewanie, podnosząc wzrok znad kubka kawy. - O co chodzi?

- To kara za to, że przegadałyśmy całą noc. Nawet dzieci wstały wcześniej niż zwykle. - Julia ziewnęła na całego.

Kate i Daniel wyskoczyli z łóżek przed szóstą rano, rozemocjonowani i pełni energii. W przyływie szaleństwa Julia obiecała, że po porannej mszy udadzą się na naleśniki z bananami do „Kalego”, a teraz dzieci nalegały, żeby pójść na najwcześniejsze z możliwych nabożeństwo.

Dzwonek zadzwonił ponownie.

- To pewnie roznosiciel gazet do pani Wassenstein. On zawsze myli dzwonki.

- Przeżarłam się słodyczami - powiedziała Bonnie. - Jeśli jeszcze raz zadzwoni, nie ręczę za skutki.

Ponieważ domofon nie działał, Julia przemierzyła na bosaka korytarz, a następnie zeszła na dół do holu. Nie wzięła okularów, więc dostrzegła jedynie wysoką, obładowaną pakunkami postać za frontowymi drzwiami i roześmiała się. Pani Wassenstein musiała wysłać jednego z notorycznie wykorzystywanych zięciów po łakocie do „Cukierni Klechnera”, dwie przecznice stąd, a teraz obładowany biedak na ślepo naciska dzwonki.

- Już idę! Jeszcze chwila i...

Otworzyła drzwi, wrzasnęła i ponownie je zatrzasnęła.

O Boże, powiedz, proszę, że mam omamy, że obładowany prezentami Jack Wyatt nie stoi na werandzie. Powiedz, proszę, że nie mam na sobie wytartych spodni od dresu i T-shirt grupy rockowej Aerosmith, ani że nie mam swojej prawdziwej twarzy i włosów.

Znowu rozległ się dzwonek.

On nie zamierza odejść, Monahan.

Nie chciała, żeby odszedł.

Jeżeli on nie potrafi stawić czoła realnemu życiu, to wszystko i tak nie ma sensu, nieprawdaż

Otworzyła drzwi.

To była najdłuższa minuta w jego życiu. Aż trudno uwierzyć, że w ciągu sześćdziesięciu sekund człowiek może się przenieść z nieba do piekła i z powrotem!

Kiedy ponownie otworzyła drzwi, zobaczył boginię i zobaczył realną kobietę, a wszystko, o czym kiedykolwiek marzył w związku ze swoją przyszłością, ogniskowało się w jej orzechowych oczach.

Odłożył torby, kwiaty, pudełko mrożonej czekolady z lodami, a potem podniósł błyszczący pantofelek.

- Poznajesz? - zapytał, a serce waliło mu tak głośno, że dziwił się, słysząc własny głos.

- Znalazłeś mój but!

- To nie było łatwe, Kopciuszku. Musiałem się zabawić w detektywa.

Wydawała się skrepowana, odrobinę nieprzyjazna. Zaczął opowiadać skróconą wersję wydarzeń z tej nocy, włącznie ze szczęśliwym zakończeniem.

- Przed wyjazdem do szpitala podałem hostessie karteczkę z prośbą, by przekazała ją tobie.

- Niczego nie dostałam.

- Nie mogłem wrócić na salę i osobiście cię powiadomić, bo z nim było naprawdę bardzo źle i...

- Postąpiłeś jak należy. On jest członkiem rodziny. Twoje miejsce było przy nim.

Czy naprawdę tak uważała, czy bawiła się w dyplomację?- Jack nie miał pewności. Znali się jeszcze za mało.

- Podoba mi się ten podkoszulek - zmienił temat. - Wczoraj nie wyglądałaś jak fanka Aerosmithów.

Twarz Julii oblała się rumieńcem.

- To jestem prawdziwa ja. - Wyciągnęła końce podkoszulka i wykręciła pirueta. - Wszystko, co widziałeś wczoraj, było sztuczne i podrobione, włącznie z moimi długimi włosami.

- Podobają mi się twoje prawdziwe włosy. - Siegające do ramion, mocno kędzierzawe, seksowne jak diabli.

- Sztuczne były lepsze.

- Podobasz mi się bez makijażu.

Jej uśmiech był równie szeroki jak jego serce.

- Tylko tak mówisz.

- Mówię tak, ponieważ...

Za plecami Julii pojawiła się nieduża, ciemnowłosa kobieta, której towarzyszyły rudoblond dzieci.

- Idziemy do kościoła - powiedziała kobieta, chociaż błysk jej ciemnych oczu wcale nie należał do świątobliwych. - A potem udamy się na te naleśniki z bananami, które im obiecałaś.

Dziewczynka o oczach i spojrzeniu Julii podniosła główkę i uważnie przyjrzała się tajemniczemu przybyszowi.

- Jak się nazywasz?

Przykucnął i znalazł się na wysokości ramion dziewczynki.

- Jestem Jack. - Wyciągnął rękę. - A ty?

- Czy chcesz uścisnąć rękę Jacka, Kate? - zapytała Julia, kładąc dłoń na ramieniu małej.

Kate była rozsądnym i zdecydowanym dzieckiem i najpierw musiała się zastanowić, czy chce wziąć go za rękę. Kiedy w końcu to zrobiła, a jego palce delikatnie oplotły jej drobne paluszki, poczuł się tak, jakby zdobył Emmy albo Oscara i na dodatek garść nagród Tony.

Do licha, poczuł się nawet lepiej. Poczuł się tak, jakby wreszcie wrócił do domu.

Chłopczyk był nieśmiały. Mocno trzymał za rękę ciemnowłosą kobietę i zerkał na Jacka spod gęstych firanek ciemnych rzęs. Również on miał oczy swojej matki.

- Daniel potrafi czytać, potrafi też napisać swoje imię, nazwisko i adres, a także poprawnie zapisać dwadzieścia cztery słowa - powiedziała z dumą Julia. - Uczy się też liczyć, tylko jeszcze szóstka sprawia mu kłopot.

- Razdwatrzyczterypięćsied... - Na buzi chłopca pojawił się szeroki uśmiech. - ... sześć-siedemosiemdziewięćdziesiąt.

- Aż do dziesięciu! - Jack nie był pewny, czy czterolatek wie coś o przybijaniu piątki. A tak w ogóle to czy ludzie przybijają jeszcze piątki? Wyciągnął rękę do Daniela spodem do góry i wydał okrzyk podziwu, kiedy malec plasnął go w rękę.

- A ja jestem Bonnie - odezwała się ciemnowłosa kobieta. - Mam dwadzieścia osiem lat i widziałam twoje filmy.

- Bonnie od sławnego pantofla? - Wręczył jej Manola.

- A więc jesteś prawdziwym bohaterem akcji. - Wspięła się na palce, żeby pocałować go w policzek. - Dzielnie przedarłeś się przez dzikie tereny Manhattanu, żeby połączyć w parę moje pantofle, dzięki czemu świat wrócił do równowagi.

Polubił ją. Miała specyficzne poczucie humoru, którego podtekst szybko zrozumiał. Nie skrzywdź jej - ostrzegła - bo się z tobą porachuję.

- Kawa Starbucks - zauważyła, sporządzając inwentarz rozłożonych na podłodze paczuszek. - O, i bajgle od Klechnera! Skąd wiedziałeś o cukierni Klechnera?

- Nie wiedziałem. Po prostu szczęśliwy traf.

- Chyba by się nadawał - stwierdziła, podczas kiedy Julia zaczerwieniła się od policzków po szyję. - Wstrzymałabym się jeszcze z ostateczną oceną, ale...

- Msza zaczyna się za dziesięć minut - przypomniała Julia - a twoi chrześniacy nie są sprinterami.

- Słusznie. - Przeniosła wzrok z przyjaciółki na Jacka. -

Zrozumiałam aluzję.

- Możemy tu zostać, mamó? - aniel pociągnął matkę za brzeg wypłowiałego podkoszulka.

- Tu jest zabawnie.

- Ojej - jęknęła Bonnie, udając, że czuje się zraniona. - Ja też jestem zabawna, no i co z naleśnikami, które obiecałyśmy wam po mszy?

Najwyraźniej wymówiła czarodziejskie słowo.

- Widać nie można się obejść bez naleśników - powiedział Jack, kiedy cała trójka wyszła na ulicę.

Julia nie odpowiedziała. Stała zamyślona i trochę nieobecna.

- Może powinienem był najpierw zadzwonić. Nie pomyślałem o tym, ale chciałem...

- Cieszę się, że cię widzę.

Odegrał potężne westchnienie ulgi, na co ona się roześmiała, ale napięcie pozostało.

Wzięła kwiaty, torbę z cukierni i paczuszkę od Starbucksa, potem kiwnęła na Jacka, by szedł za nią. Drzwi mieszkania na parterze zamknęły się błyskawicznie, kiedy zaczęli wstępować po schodach. Zdążył dostrzec kątem oka starszą kobietę w pełnym makijażu - niedziela, ósma rano! - i ze słuchawką telefonu przyklejoną do ucha.

- To pani Wasserstein - objaśniła Julia, gdy Jack wspinał się za nią. — Właścicielka tego domu. - Bogini rzuciła mu spojrzenie przez

ramię. - Zanim skończy się msza, pół dzielnicy będzie koczować pod werandą.

- A ja myślałem, że tylko paparazzi tak się naprzykrzają.

- Jest jedna wielka różnica - odpowiedziała Julia. - Ci mnie kochają.

- Rozumiem, że zamierzają pilnować, by nie stała ci się krzywda.

Weszli do przestronnej, słonecznej kuchni i odłożyli torby, pojemniki, kwiaty i lody na stół. Odwróciła się do Jacka, a wyraz jej przepaścistych oczu sprawił, że poczuł się tak, jak wówczas, kiedy staranowała go drzwiami limuzyny.

- Są dla mnie jak rodzina. Pomagali mi opiekować się mężem, kiedy umierał, dbali o mnie, kiedy chciałam umrzeć razem z nim. To pani Wasserstein zawiozła mnie do szpitala, kiedy zaczęły się bóle porodowe. Bonnie towarzyszyła mi przy porodzie. Sara z przeciwka pokazała mi, jak się karmi piersią. Mają prawo wyrażać swoją opinię.

- Wyraz jej twarzy trochę złagodniał, więc i dokuczające mu uczucie ciosu zadanego w żołądek ustąpiło. Nie do końca.

- A jeśli uznają, że stać cię na lepszego kandydata?

- Uszanuję ich opinię, ale ostateczna decyzja będzie należała do mnie i do moich dzieci.

- Ożeniłem się z najlepszą przyjaciółką, kiedy miałem dwadzieścia dwa lata. - On także wyłoży karty na stół - Jest córką mojego menadżera. Stali się moją rodziną, kiedy moja wypięła się na mnie.

- Jesteś rozwiedziony? - Julia spojrzała mu w oczy.

- To była jej decyzja. Linda jest romantyczką i doszła do wniosku, że przyjaźń to nie wszystko i że może gdzieś w pobliżu znajduje się jej przeznaczona bratnia dusza.

- To musiało być bolesne.

- Nie aż tak bardzo, jak przypuszczałem.

- To straszne, nie mogę tego słuchać - powiedziała bogini, ale nie przestała się uśmiechać.

- Okazało się, że Linda miała rację. Spotkała bratnią duszę pół roku po naszym rozwodzie, a ja jestem ojcem chrzestnym trójki dzieci, które mają z Mikiem.

- A widzisz? - Głos Julii był bliski szeptu. - Czasami sprawy układają się tak, a nie inaczej, bo tak jest sądzone.

- Tak jak z nami. Nie zamierzałem udać się na tę ceremonię, ale Clive zobowiązał mnie do tego.

- Gdyby Bonnie nie musiała leczyć zęba, mnie też by tam nie było.

- Nie mogłem złapać taksówki...

- Utknęłyśmy w korku i wiedziałam, że jeśli nie pójde pieszo, Bonnie będzie miała przykrości.

- I wtedy wyrznęłaś mnie drzwiami.

- Nie - uśmiechnęła się Julia, gdy centymetr po centymetrze przybliżali się do siebie. - O ile pamiętam, wtedy ty wpadłeś na drzwi.

- Wpadłem na ciebie i zakochałem się w tobie.

- Ano wpadłeś.

Boże, jak ona cudnie pachnie... jak świeże kwiaty w chłodny dzień.

- O czym to ja mówiłem? - ocknął się po chwili.

Roześmiała się tym swoim urzekającym śmiechem.

- Rozmawialiśmy o przeznaczeniu. Dzieliły ich centymetry.

- Wcześniej nigdy nic takiego mi się nie przytrafiło. Nie wierzyłem, że takie rzeczy się zdarzają.

- Ja też nie - powiedziała, kiedy wziął ją za rękę. Kusilo ją, żeby zaryzykować i rzucić mu się w ramiona i pozostać w nich na zawsze, ale miała dzieci, które musiała chronić, i to zmieniało wszystko. - Omal nie powiedziałam „tak”, kiedy zaproponowałeś mi wyprawę do Montauk. Nawet nie wiesz... - Pieścił kciukiem jej nadgarstek, a ona niemal odchodziła od zmysłów - ...jak bliska byłam decyzji ucieczki z tobą.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo byłem bliski zabrania cię stamtąd. Poczula na plecach rozkoszne ciarki.

- Czy to jest tekst z jakiegoś twojego filmu?

- Nie, nie z filmu. - Położył jej dłoń na swoim sercu. - To płynie stąd.

- To szaleństwo - wyszeptała, kiedy przywarli do siebie.

- Nie będę się sprzeczał.

- Powoli, nie będziemy się śpieszyć - powiedziała, kiedy odkrywała dotykiem jego ramiona i potężne mięśnie szerokiej klatki piersiowej.

- Bardzo powoli.

Przyłgnął ustami do jej szyi, a ona omal nie zemdląła jak jakieś zauroczone dziewczę.

- Musisz lepiej... - Och! Co on wyprawia za moim uchem? -
Poznać moje dzieci.

Stawka była wysoka, oboje to wiedzieli. Nie zbudują wspólnej przyszłości, dopóki nie staną się rodziną. Wszyscy czworo.

- Rok - powiedziała, opierając głowę na jego ramieniu. - Jak się na to zapatrujesz?

Wydał głuchy jęk.

- To cholernie długo.

- Ojcostwo bez przygotowania może się rozminąć z twoimi oczekiwaniami.

- Mam troje chrześniaków. Wszyscy poniżej ośmiu lat.

- Okej. - Roześmiała się. - Może naprawdę masz jakieś pojęcie.

- Rok to długi okres czasu - powiedział z poważną miną, jakiej jeszcze u niego nie widziała. - Może się okaże, że życie ze sławną osobą nie jest wcale zabawne. - Paparazzi. Plotki w kronikach towarzyskich. Plenery filmowe, które wystawiają związki na ciężkie próby.

- Przyznam, że tego najbardziej się boję.

- Znajdziemy jakieś wyjście. Innym się udało. Skorzystamy z porad tych najlepszych.

Kiedy uśmiechnęła się do niego, znowu zobaczył kościół z długim białym kobiercem i kroczącą ku niemu najpiękniejszą pannę młodą na świecie.

- Jeden rok. - Ujął w dłonie jej twarz.

- Jeden rok. - Popatrzyła na niego i ujrzała niemowlę z dołeczkiem na lewym policzku i jasnoniebieskimi oczami.

Nastąpiły pierwsze pocałunki. Ich usta się spotkały, potem rozdzieliły, potem znowu spotkały, a szybkie przelotne pieszczoty przerywały przeciągłe spojrzenia, jakby żadne z nich nie mogło do końca uwierzyć w to, co się dzieje. On wdychał jej zapach. Ona upajała się jego czułością.

- Nie będziemy się śpieszyć. - Musnął wargami jej usta.

- Masz rację. - Czy powiedziała to po angielsku? Nie miała pewności. Jej mózg wyłączył się w momencie, kiedy Jack jej dotknął.

- Powoli, powoli.

- Zrobimy to pięknie i wolno. - Chwycił zębami jej dolną wargę, a ona jęknęła z rozkoszy.

Poprowadziła go do salonu i do dużej, żółtej miękkiej sofy, która najlepsze czasy miała już za sobą.

- Właściwie to nie musimy być aż tak powolni...

Ze śmiechem osunęli się na sofę i oddali się miłości.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Rok później

- Wyglądasz fantastycznie - powiedziała Bonnie, cofając się, żeby przyjrzeć się swojemu dziełu. - Od góry aż po przynoszące szczęście Blahniki. Wyglądasz nawet lepiej niż w zeszłym roku.

- I jestem jeszcze bardziej zdenerwowana niż przed rokiem - przyznała Julia. - Nie wiem, co o tym sądzić.

- Ale ja wiem. Twój narzeczony wrócił do miasta.

- To może mieć z tym coś wspólnego. - Włożyła okulary i zerknęła do lustra na nową i ulepszoną Julię. - On mnie nie pozna!

- E tam, jeszcze jak pozna. Nie było go tylko przez miesiąc.

- Powiedz to dzieciom - zaśmiała się Julia. - Ślą do niego mejle pięć razy dziennie, ścigają się ze mną do telefonu, kiedy dzwoni, i zajęchały dwa DVD z „Gryzaczkami”. - A Jack nie był wcale lepszy. Przysyłał dzieciakom dracznym pocztówki i animowane mejle. Co więcej, postrzegał je jako indywidualne jednostki, a nie tylko jako jej dzieci, jednym słowem podchodził do nich poważnie i z miłością.

No właśnie. Sama to powiedziała - kocha jej dzieci, a one jego. Ani się spostrzegli, jak w ciągu dwunastu miesięcy wszyscy czworo stali się rodziną.

Poprosiła o roczną próbę i właśnie dzisiaj kończył się rok. Spełniły się wszystkie jej marzenia, ale ku własnemu zdumieniu stwierdziła, że to za mało. Chciała więcej.

Chciała mieć wszystko. Cały komplet. Pragnęła romantyzmu i żarliwego uczucia. Chciała śmiechu i przyjaźni. Chciała, żeby jej dzieci miały ojca do kochania, do żartów i do szanowania. Chciała, żeby mężczyzna, którego kocha, odwzajemniał jej miłość. Chciała faceta, który będzie kochał i ochraniał jej dzieci, gdyby z nią się coś stało.

I znalazła to wszystko i jeszcze więcej w osobie, która teoretycznie do niej nie pasowała. Nie był maniakiem komputerowym ani pracującym w domu pisarzem, który utrzymuje się z tego, co ma w głowie, ani miejscowym chłopakiem, ani znajomością z internetu. Zakochać się w gwiazdorce filmowym... takie coś przydarzyć się mogło tylko jej.

Ostatni miesiąc Jack spędził w Kalifornii, pomagając Clive'owi urządzić dom w niedużym kurorcie niedaleko Palm Springs. Trzy miesiące temu jego przyjaciel i menadżer przeszedł operację wszczepienia czterech by-passów i chcąc nie chcąc, musiał trochę zwolnić tempo życia. Jack wszelkimi sposobami starał się omijać drażliwy temat piętrzących się filmowych propozycji, i to był jeden z wielu powodów, dla których go kochała. Prędzej zwolniłby tempo własnej kariery zawodowej, niż zranił uczucia człowieka, który był dla niego ojcem od niepamiętnych czasów.

Nie przeszkadzało jej nawet, że pozostaje w dobrych, wręcz przyjaznych stosunkach z byłą żoną. Kilka razy odwiedzili Lindę i Mike'a w Southold i gościli ich u siebie na kolacji na Brooklynie, i za każdym razem było tylko lepiej. Ich dzieci szybko się zaprzyjaźniły, czego nie zmienił fakt, że Kate nauczyła gromadkę Lindy paru raczej

niewybrednych brooklynizmów, które na chwilę rzuciły cień na bezchmurne niebo Southold. Kate i Daniel spędzali właśnie weekend z dziećmi Lindy, a Julia mogła mieć tylko nadzieję, że jej córka wyczerpała już zasób niecenzuralnego słownictwa i że przejdzie do czegoś mniej prowokacyjnego.

Ten ostatni miesiąc był trudny dla Julii. Bardziej niż przypuszczała, brakowało jej bliskości Jacka. Jakby życie straciło urok. Przez jedenaście miesięcy Jack na każdym kroku dawał dowody swojej miłości, ale co by było, gdyby ostatnie cztery tygodnie zmieniły wszystko?

Takie rzeczy się zdarzają. Ludzie się zmieniają, nawet wbrew własnej woli. Może właśnie dlatego nagłośnił tak bardzo ich pierwsze spotkanie po swoim powrocie. Może dlatego nie wskoczył do taksówki na lotnisku JFK i nie pomknął od razu do jej domu w Bay Ridge i nie porwał Julii w ramiona, jak to robił w jej snach przez trzydzieści nocy.

- Monahan, co się dzieje ? - Bonnie dotknęła jej ramienia.

Julia ocknęła się i zmusiła do uśmiechu.

- Niewykluczone, że będę miała napad lęku.

- W związku z dzisiejszym wieczorem? Uwierz mi, wyglądasz rewelacyjnie.

- Co innego mnie martwi. Chodzi o Jacka.

- Niedługo tu będzie. Jego samolot wylądował o trzeciej.

- Skąd wiesz?

Policzki Bonnie lekko poczerwieniały.

- Czy przypadkiem nie od ciebie ?

- Nie. - Julia przyszpiliła wzrokiem najlepszą przyjaciółkę. - Nie mogłaś się dowiedzieć ode mnie, bo dotąd nic o tym nie wiedziałam. O co tu właściwie chodzić

- O nic.

- Marna z ciebie kłamczucha.

- Jestem rewelacyjną kłamczucha - oburzyła się Bonnie. - Jestem teraz broadwayowską aktorką, moja droga, nie zapominaj o tym.

Aktualnie Bonnie była dublerką w roli Velmy Kelly w granym od dawna musicalu „Chicago”.

- Tamto to gra, a to jest kłamstwo.

- Bo się obrażę.

- Mało mnie to obchodzi. Powiesz wreszcie, o co chodzić

Odpowiedź na pytanie nie padła, albowiem pod oknem rozległ się klakson z melodyjką „Oto zbliża się panna młoda”.

Bonnie spojrzała na zegarek i uśmiechnęła się szeroko.

- Co za punktualność - powiedziała z zadowoleniem.

Julia podbiegła do okna w momencie, kiedy wielka ślubna limuzyna wpasowywała się w zatoczkę z napisem „Nie parkować” przed jej domem. W słońcu późnego popołudnia kampanule i gołąbki aż błyszczały na bokach samochodu.

- Co Rachel tu robić - zdumiała się Julia. - Odwozi cię do pracy?

Szeroki uśmiech Bonnie był ze wszech miar podejrzany.

- Kochana, mogłabyś zejść na dół i sprawdzić to osobiście.

Serce Julii zaczęło bić tak gwałtownie, że z trudem złapała oddech. Pokonanie schodów zdawało się trwać równie długo, co bieg maratoński. W locie zdążyła dostrzec zgromadzonych na zewnątrz

sąsiadów, pocętkowane słońcem pączki liści, usłyszeć miejskie ptaki wyśpiewujące trele pod okapem domu, ale to wszystko zniknęło, kiedy zobaczyła jego.

Jack Wyatt stał przy limuzynie obok otwartych drzwi pasażera.

- Wyglądasz, jakbyś wygrał los na loterii - powiedziała, podchodząc do niego.

Jego uśmiech był tym wszystkim, czym być powinien.

- Ty również. Zakręciła się w kółko.

- Masz na myśli te starocie? Spojrzał w dół na jej pantofle.

- Włożyłaś przynoszące szczęście pantofelki Bonnie.

- Po co zrywać z tradycją?

Sąsiedzi przyzwyczaili się, że mają w swoim gronie gwiazdę filmową. Polubili go, a on ich, zaś instynkty opiekuńcze okazywane Julii objęły też i jego.

Julii jakoś udało się wśliznąć razem z suknią do limuzyny.

Kiedy Jack usiadł koło niej i zamknął drzwi, samochód majestatycznie ruszył z miejsca.

Pocałowali się przelotnie, a krótkotrwały dotyk ust nie wystarczył, żeby opanować zdenerwowanie. Coś było nie tak, ale nie wiedziała co.

- Kazałeś zasunąć szybę - zauważyła, stopniowo ogarniając wzrokiem wnętrze. - Rachel musi być tym zachwycona.

- Już jej to wynagrodziłem. - Wyglądał trochę niepewnie, jakby i on był zdenerwowany, na co Julia natychmiast zareagowała skurczem żołądka. - To wszystko, co zauważyłaś?

Do tego momentu nie zauważyła niczego poza nim i własnym niepokojem. Kiedy odetchnęła głęboko, jej pole widzenia znacznie się poszerzyło.

- Och, Jack!

Odchylane siedzenia zasypane były różami. Róże czerwone, śnieżnobiałe, kremowobiałe, herbaciane, blad różowe. Wszystkie rodzaje, a nawet więcej niż można znaleźć w Brooklyńskim Ogrodzie Botanicznym.

Były czekoladki na drewnianym stoliku na nóżce, jej ulubione kruche orzechowe ciasto z dziurką z cukierni Klechnera i butelka szampana - cudowna butelka w kwiaty, jakiej zawsze pragnęła - zanurzona w kryształkach lodu.

Miała tak ściśnięte gardło, że z trudem wydobyła głos.

- Sam to przygotowałeś?

- Bonnie dała mi namiar na swoją kuzynkę, ale resztę zorganizowałem sam.

- Bo...?

- Czy muszę to wyjaśnić?

- Tak. - Splotła z nim palce. - Masz to wyjaśnić.

- Bo cię kocham. Bo dzisiaj mija rok, a ja cię kocham bardziej niż wtedy, kiedy mnie powaliłaś tymi drzwiami. Bo tęsknię za tobą, kiedy nie jesteśmy razem, i przejmuję się mlecznymi zębami Kate oraz nauką pływania Daniela w YMCA. Nie chcę cię opuścić dzisiaj wieczorem. Chcę być z tobą, kiedy budzisz się rano i kiedy kładziesz się spać. Chcę z tobą dać dzieciakom więcej braciszków i siostrzyczek, i chcę być tym jedynym, który będzie trzymać cię za

rękę, kiedy każde z nich po kolei ukończy szkołę średnią, a my zaczniemy się naprzykrzać i domagać się wnuków.

Nawet nie próbowała powstrzymać łez, które obficie spływały po jej policzkach i niszczyły perfekcyjny makijaż wykonany przez Bonnie.

Jack sięgnął do górnej kieszeni marynarki, skąd wyjął czarne aksamitne pudełeczko, w którym krył się milion najcudowniejszych marzeń.

- Julio McGraw Monahan, myślę, że odczekaliśmy swoje.

Kiedy otworzył pudełeczko, Julia cicho krzyknęła.

- Jaki piękny!

- Czy wyjdiesz za mnie?

Zajrzała mu głęboko w oczy, tak daleko, jak tylko mogła sięgnąć duszą, i ujrzała w nich uśmiechającą się do niej ich wspólną przyszłość.

- Wiesz co? - Wyciągnęła lewą rękę. - Czuję się tak, jakbym już to zrobiła.

Do natychmiastowego opublikowania Nowy Jork 23 lipca: Jack Wyatt potwierdza wcześniejsze doniesienia o swoim ślubie z Julią Monahan z domu McGraw. Skromna ceremonia odbyła się w posiadłości gwiazdora w Montauk na Long Island u podnóża latarni morskiej. Obecna była najbliższa rodzina i kilkoro przyjaciół państwa młodych. Pannę młodą do ślubu prowadziło dwoje jej dzieci.

Nowo poślubiona para udała się w podróż poślubną w nieznanym kierunku, a następnie ma zamiar żyć długo i szczęśliwie.